ŚWIAT

1 zł

Nr. 23. DNIA 10 CZERWCA 1933 ROKU

Antoś Fertner jako właściciel baru „Pod Gwiazdką". Widzieć go można codziennie w Teatrze Letnim

Fot. J. Malarski

TREŚĆ:






Ćwiczenia gimnastyczne redaktorów „Berliner Tageblattu" i innych pism niemieckich, celem wdrożenia ich do dzisiejszych obowiązków. („Le Rire")

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 10-go CZERWCA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 23 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY



60 państw w Londynie

Jeszcze światowa konferencja gospodarcza nie przystąpiła do obrad, jeszcze delegaci 60 państw nie rozpakowali swych waliz w hotelach londyńskich, jeszcze nie porobili sobie kalendarzyków niezliczonych przyjęć i bankietów, organizowanych w stolicy W. Brytanji na cześć 2000 gości ze wszystkich zakątków świata — a już konferencja ta jest grzebana w opinji świata i już mówi się o niej z takim samym przekąsem i lekceważeniem, jak o nieszczęsnej konferencji rozbrojeniowej, obradującej w Genewie już szesnasty miesiąc.

Dlaczego i poco zbiera się ta konferencja, dwudziesta ósma międzynarodowa narada gospodarczo-finansowa, i czwarta wielka konferencja, po Brukseli w 1920 roku, po Genui w 1922 r. i po Genewie w 1927 r.? Pytanie to zadaje opinja publiczna całego świata cywilizowanego i otrzymuje w odpowiedzi: „spróbujmy raz jeszcze, może nareszcie uda się dojść do porozumienia".

Poprzednie trzy konferencje opracowały piękne programy gospodarcze, dokonały subtelnej analizy sytuacji światowej, zaleciły rządom, jak mają postępować w sprawach stabilizacji walut, organizacji centralnych banków emisyjnych i kredytu, jak mają rozwiązać zagadnienie poziomu cen, jak mogą ożywić międzynarodową wymianę handlową. Zalecenia te niektóre rządy częściowo wykonały, inne zupełnie zlekceważyły. Wzbogaciła się jedynie literatura ekonomiczna.

W 1929 roku świat nawiedził kryzys, który szaleje do dziś dnia i niszczy dobrobyt ludzkości. Przed dwoma laty rzucono myśl zwołania światowej konferencji dla znalezienia środków walki z kryzysem. Gdyby wtedy na serjo wzięto się do tej walki, w skali światowej, „dno kryzysu" nie obniżyłoby się do poziomu z roku 1933. Wtedy, w 1931 r. w porównaniu z rokiem 1929, światowy obrót gospodarczy (obliczony przez sekcję ekonomiczną Ligi Narodów na podstawie sprawozdań z 49 państw, reprezentujących 90% handlu światowego) wyrażał się liczbą 9.685 miljonów dolarów na kwartał (w r. 1929 —15.289 miljonów), i stanowił 63% obrotu ostatniego „dobrego" roku. Pierwszy kwartał roku bieżącego daje już tylko 5.381 miljonów obrotu, czyli 35% w porównaniu z rokiem 1929.

Miesiąc jednak upływał za miesiącem, a termin zwołania konferencji jeszcze nie mógł być ustalony, i dopiero objęcie władzy w Stanach Zjednoczonych przez Prez. Roosevelta i jego rozmowy waszyngtońskie z MacDonaldem i Herriotem doprowadziły do ustalenia daty na 12 czerwca.

A tymczasem zagadnienia, któremi miała zająć się konferencja, niezmiernie się skomplikowały i stały się o wiele trudniejsze od rozwiązania, dlatego chociażby, że każdy kraj na własną rękę organizował swoją walkę z kryzysem, i w dążeniu do ochrony własnych interesów pogrążał się w nacjonalizmie gospodarczym, tamując drogę do rozstrzygnięć w skali międzynarodowej. W dodatku, wielka praca przygotowawcza do konferencji, w której brały udział najtęższe głowy ekonomiczne przodują-



Plac Kazimierza Wielkiego, powstały na gruntach pofortyfikacyjnych u wylotu ul. Karmelickiej

Nowy Kraków

Porozumiejmy się na samym wstępie co do istoty i charakteru Nowego Krakowa: to nie jakiś wytwór nowoczesny, na wzór i podobieństwo, dajmy na to, Nowego Jorku, miasta bez żadnej przeszłości, chyba w swej nieznacznej części południowej, noszącej dawniej miano Nowego Amsterdamu. Nowy Kraków to bujny, z nowoczesnemi potrzebami zgodny rozrost dawnego, Starego Krakowa, starego a jednak nie zestarzałego, nie zgrzybiałego i nie zamierającego na uwiąd osiedla ludzkiego, lecz grodu, który, nie zaprzepaściwszy nic ze swej zaszczytnej przeszłości, tworzy własną teraźniejszość, świadczącą dowodnie o krzepkości sił i jędrności soków żywotnych. Piękno Nowego Krakowa to nie szminka starej, zwiędłej zalotnicy, lecz zdrowy rumieniec organizmu wiecznie młodego i do życia zdolnego.

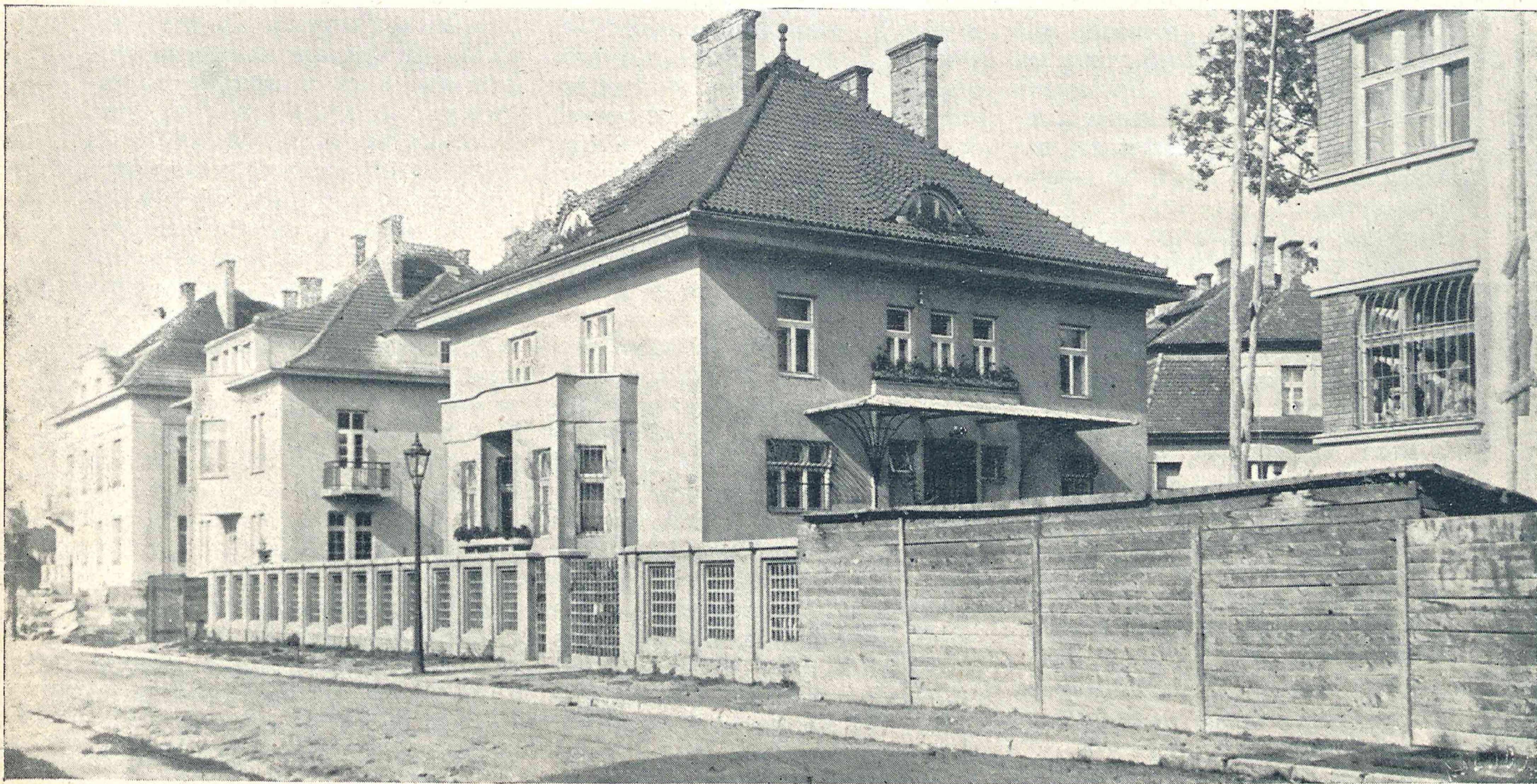
Jakkolwiek tu i owdzie w obrębie Starego Krakowa wystąpiły nie zawsze może z jego charakterem zgodne objawy modernizacji, to rzeczywisty Nowy Kraków jest starego przyrostem i wybitnem zbogaceniem. Nawet człowiek, który nie znał przedwojennego Krakowa, odrazu pozna, gdzie się kończy stary Kraków, a zaczyna nowy. Tembardziej ktoś, kto, jak piszący te słowa, zna Kraków od roku 1873, kto spędził w nim lata dziecięce i młodzieńcze, kto wydeptał bruki krakowskie i zajrzał w każdy zakątek, dzisiaj błąka się po nowych dzielnicach i potrzebuje przewodnika, ułatwiającego mu orjentowanie się w granicach Nowego Krakowa.

Pamiętam dobrze, że w moich latach chłopięcych odbywałem z rodzicami „wycieczki poza miasto"; dochodziło się do wylotu ulicy Wolskiej, przekraczało przez most nad zasklepionem dzisiaj korytem Rudawy i wsiadało do czekających furek wiejskich, które wiozły na Wolę Justowską, na Sikornik, na Panieńskie Skały. Mieszkaniec Nowego Krakowa uśmiałby się z tego, bo te miejsca dawnych zamiejskich wycieczek znajdują się obecnie w obrębie miasta, stanowiąc parki i teren zwyczajnych spacerów, nieco dalej tylko od śródmieścia położonych.

Lecz Nowy Kraków to nietylko nowe bruki, nowe mury, czy nowe parki, lecz także nowi ludzie, ludzie dzisiejsi, ducha czasu rozumiejący. Wobec otrzymanego po Austrji smutnego spadku i w obliczu wielkiego braku środków materjalnych jakiejże trzeba było energji, jakiej umiejętności zawodowej, jak obywatelskiego traktowania spraw miejskich, a więc spraw publicznych, aby w przeciągu tak krótkiego czasu osiągnąć to wszystko, czem się Nowy Kraków poszczycić może. I dobrze się dzieje, że Kraków staje się ośrodkiem polskiego ruchu turystycznego, ponieważ zarówno obcy, jak i swoi, będą mieli przed oczami dowód niepożytej siły narodu polskiego, której Nowy Kraków jest jednym z chlubnych przykładów.

Jak olbrzymie trudności napotyka wszelka praca, wynika chociażby z faktu, że do tej pory Kraków nie posiada planu regulacyjnego; pomiary zarówno poziome, jak i pionowe zostaną skończone dopiero w roku bieżącym. Tymczasem ludność, wynosząca około 230.000 głów, nie mogła czekać na ukończenie pomiarów, ponieważ życie ma swoje wymagania, które trzeba zaspokoić; na tem tle dopiero występuje cała umiejętność rozwiązania palących zagadnień budownictwa miejskiego, tak szczęśliwie w Nowym Krakowie rozwiązanych.

Warszawa, zduszona murami cytadeli, poza które miasto posuwać się nie mogło, zrozumie dzieje usiłowań krakowskich o wydostanie się z okowów zabudowań wojskowych, sięgających odległej epoki. W roku 1907 nastąpił dla małego Krakowa, liczącego zaledwie 100 tysięcy mieszkańców na niespełna 7 klm. kw., fakt niezmiernej doniosłości: zniesiono istniejące od r. 1865 austrjackie fortyfikacje, otaczające od zachodu, północy i wschodu miasto. Odcinały one miasto od przytykających bezpośred-



Ulica Kościelna na gruntach pofortyfikacyjnych u wylotu ul. Karmelickiej

nio do nich gmin, uniemożliwiając zarówno rozrost starego miasta, jak i racjonalną zabudowę tych gmin. Celem uzyskania potrzebnych funduszów przeznacza magistrat tereny gruntów pofortyfikacyjnych, przytykające do alei obwodowej, nazwanej „Aleją Słowackiego, Mickiewicza i Krasińskiego" na cele mieszkaniowe, i po urządzeniu ulic przeprowadza parcelację bloków, jakoteż sprzedaż poszczególnych parcel.



Nowy gmach Tow. Asek. „Feniks"

Południowy odcinek Al. Krasińskiego od Wisły do ul. Smoleńsk jest już dzisiaj od strony gruntów pofortyfikacyjnych zwarto zabudowany nowemi domami cztero- i pięciopiętrowemi. Między innemi znajdują się tutaj gmachy Szkoły Przemysłowej Żeńskiej, Związku Górników, Tow. Urzędników Gminy m. Krakowa i cały szereg nowoczesnych domów czynszowych.

Najokazalej przedstawia się dotychczas obszar gruntów pofortyfikacyjnych, znajdujący się u wylotu ul. Karmelickiej przy Parku Krakowskim. Między innemi wznoszą się tutaj: gmach Tow. Obrony Kresów Zachodnich, Dom Profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, dwa budynki Wyższego Studjum Handlowego, domy urzędników państwowych i t. d. Przy Al. Mickiewicza wznoszą się takie okazałe budynki publiczne, jak Szkoła Przemysłowa, Studjum Rolnicze i Studjum Weterynarji Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Szczególniejszej uwagi godna jest część błoń miejskich u wylotu ul. Wolskiej, tutaj bowiem Uniwersytet Jagielloński otrzymał drogą sprzedaży obszar 10 morgów pod budynki uniwersyteckie, jakoteż 6 morgów pod budowę Bibljoteki Jagiellońskiej (niestety, z braku środków jeszcze nie rozpoczętej); tutaj Akademja Górnicza wystawiła halę maszyn Wydziału Hutniczego; tu w roku 1919 przeznaczyła Rada Miejska 2 parcele pod budowę pawilonów Muzeum Narodowego, która też została chwilowo z braku funduszów odroczona. To też miło wspomnieć raczej o tem, co już się znajduje w całości, lub jest na drodze do szybkiego wykończenia. W $^3/_4$ został zbudowany wspaniały Dom Akademicki im. Ignacego Mościckiego, prawe skrzydło domu im. Piłsudskiego dla Związku Legjonistów, wreszcie Miejski Dom wycieczko-



Miejski dom wycieczkowy w Oleandrach

wy, który spełnia doniosłą rolę przy coraz to bardziej rosnącym ruchu turystycznym. Zbudowany wedle planów arch. Edwarda Kreislera pociąga oko estetyczną powierzchownością i pięknie pomyślanem wnętrzem szczególniej klatki schodowej i hallów. Mieści 19 sypialń po 3 — 4 łóżka, świetlicę, dwie izby harcerskie, pomieszczenie dla Koła Krajoznawczego, kuchnię, natryski z rozbieralnią, składy na przechowanie bagażu i t. d.

Dom im. Józefa Piłsudskiego w słynnych Oleandrach wzniesiony wedle projektu prof. Dr. Adolfa Szyszko-Bohusza i inż. Stefana Strojka, przeznaczony jest na pomieszczenia szeregu instytucyj wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego.

W tej też okolicy znajduje się gmach Duchownego Seminarjum Śląskiego.

Obok poszczególnych okazałych gmachów użyteczności publicznej powstały całe nowe dzielnice, jak naprzykład osiedle Oficerskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Tutaj powiedzieć należy, że Kraków jeszcze od czasów zaborczych jest upośledzony pod względem komunikacyjnym, co wielce utrudnia jego rozwój; wiele zależeć będzie od pomyślnego załatwienia takich spraw, jak przeprowadzenie kanału spławnego Wisła — Odra i związanej z tem budowy portu nad Wisłą, od rozbudowy węzła kolejowego z rozszerzeniem dworca towarowego i budową nowego dworca osobowego etc. Kraków zdaje sobie doskonale sprawę ze swych braków i potrzeb, nie zasypia na zdobytych laurach i jeżeli do tej pory wykazuje pewne zaniedbania, to nie z winy miasta i jego zarządu, lecz z braku funduszów, na które nie tylko Kraków w Polsce cierpi.

Dla zilustrowania intensywności ruchu budowlanego dość powiedzieć, że od roku 1925 do 1932 zbudowano w Krakowie 1.030 domów o łącznej ilości 26,162 izb. Koszt budowy tych domów (obejmujący także dobudowy, przebudowy i nadbudowy) wynosi w przybliżeniu 100 miljonów złotych, co stanowi zaiste sumę imponującą. Sama gmina wybudowała w ciągu tych ośmiu lat 34 domy, z czego 11 baraków dla bezdomnych, zawierających 1,355 izb (koszt 5½ miljona złotych).

Kończąc te uwagi o Nowym Krakowie, poparte szeregiem zdjęć fotograficznych, z zadowoleniem musimy zaznaczyć, że przekształcanie Starego Krakowa na Nowy nie zaciera dawnego, historycznego charakteru miasta, nie szpeci go, nie wulgaryzuje, lecz zachowując to, co istotnie zachowania i zakonserwowania godne, przydaje mu nowych walorów i nowej szaty, godnie odpowiadającej tradycji tego najwspanialszego zabytku kultury polskiej.

Wojciech Szukiewicz

TYDZIEŃ ŚWIATA

Gigantyczny bluff

(s) Ośm razy miał już być podpisany, najpierw w Rzymie, potem w Genewie, następnie w Londynie. Parafowany miał być z pięć razy. Zmieniany był i przepisywany co drugi dzień. Chwalony i wielbiony tam, gdzie niema wolnego słowa i gdzie prasa musi pisać, jak jej rząd każe, — w Rzymie i w Berlinie — ostro krytykowany, ośmieszany i odrzucany w tych krajach, gdzie opinja publiczna może się wypowiedzieć swobodnie, w Paryżu i w Londynie...

Od trzech miesięcy tłucze się ten upiór po świecie, niepokojąc narody swemi rzekomo pokojowemi zamiarami. Już nawet przestał być straszny, jest tylko irytujący.

Pakt czterech, zdaje się, mimo wszystko, będzie zawarty. Cztery mocarstwa dojdą do porozumienia i podpiszą ten pakt — ale czy wejdzie on kiedy w życie? Mussolini musi mieć ten pakt dla ratowania swego prestiżu, jako jego twórca i inicjator. Francja nie chce narażać się Włochom swoją opozycją. Mac Donald chętnie podpisze każdy pakt. Berlin nic nie ryzykuje, godząc się nań.

Pakt tedy będzie może parafowany. Ambasadorowie Francji, Anglji i Niemiec dadzą w Rzymie swoje inicjały pod tym paktem, ale czy dojdzie do podpisu pełnemi nazwiskami premjerów rządów? A o ratyfikacji paktu przez parlamenty Francji i Anglji trudno pomyśleć!

„Gigantycznym bluffem" nazwał słusznie tę całą aferę paktową londyński dziennik „The Daily Herald".

Rozrzutność węgierska

(Wig) W ubiegłym tygodniu odbyło się w Budapeszcie posiedzenie Komitetu Wykonawczego Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy (FIJ). W zjeździe takim, zwoływanym dwa razy do roku, bierze zazwyczaj udział 30 — 40 delegatów. Do Budapesztu zjechało 180 osób, gdyż organizatorzy węgierscy, poza delegatami, zaprosili około 100 wybitnych dziennikarzy różnych krajów wraz z żonami, zapewniając wszystkim całkowite utrzymanie i bezpłatne środki komunikacji w obrębie swego państwa. Gości ulokowano w luksusowych hotelach, urządzono im przejażdżkę po Dunaju z Wiednia — do Budapesztu i spacer z atrakcjami po jeziorze Balaton; co dzień wydawano bankiety na 400—500 osób; raut u prezesa ministrów Gömbösa zgromadził około 1000 ludzi, garden-party w ogrodach zamku królewskiego — przeszło dwa tysiące, a na śniadaniu, urządzonem w parlamencie, poza dziennikarzami przyjezdnymi i miejscowymi, byli wszyscy posłowie, senatorzy, członkowie korpusu dyplomatycznego i t. d. Literalnie tłum siadał dwa razy dziennie do suto zastawionych stołów, a wino lało się strumieniem.

— Ależ ci Węgrzy są jeszcze bardziej rozrzutni i jeszcze lekkomyślniejsi od nas — mówiliśmy między sobą.

Aż nie wytrzymałem i otwarcie wyznałem to węgierskiemu koledze.

— Cóż w tem nadzwyczajnego? — odpowiedział. — Przecież kraj nic na tem nie traci, jeśli z jednej kieszeni przełoży pieniądze do drugiej. Co państwo wyda na gości, to zarobią hotelarze, restauratorzy, kupcy, rolnicy, aby zwrócić skarbowi w postaci podatków, najczęściej zaległych.

— Więc pan uważa, że was nic nie kosztuje utrzymanie 180 osób przyjezdnych i podejmowanie parokrotnie większej liczby krajowców?

— Przecież jadacie chleb z węgierskiej mąki i pijecie węgierskie wina; wzmoże się tylko konsumcja produktów, na które nie mamy zbytu. Straty żadnej nie poniesiemy, raczej osiągniemy zyski.

— W jaki sposób?

— Bardzo prosto. Każdy z was przywiózł trochę własnej waluty: Wy może mniej, Anglicy czy Holendrzy więcej, — wszystko zostawicie u nas. Ale to drobne stosunkowo sumy. Prawdziwy zarobek powstanie z czego innego.

— Jaki zarobek? — pytałem już bardziej rozśmieszony, niż zdziwiony.

— Niech pan obliczy, ile musielibyśmy wydać, aby mieć w prasie całego świata artykuły o Węgrzech.

Gazety zagraniczne każą słono sobie płacić za propagandę. Dzięki zjazdowi każdy z was coś napisze: o Budapeszcie, o Dunaju, o sprawie węgierskiej. Zaoszczędzimy miljony na propagandzie. A ponadto...

— Co! Jeszcze coś więcej?

— Naturalnie. Przecież ze stu miljonów czytelników tych pism, które są tu reprezentowane, choć drobny ułamek procentu zainteresuje się pięknem naszego miasta i zechce je zobaczyć. Cóż wzmaga ruch turystyczny, jeśli nie prasa? A turystyka, to pokaźna pozycja w bilansie płatniczym. Zapewniam więc pana, że te kilkadziesiąt tysięcy pengów, niech będzie nawet sto tysięcy, czy pół miljona — wydane na goszczenie dziennikarzy, zwróci się stokrotnie. Tylko krótkowzroczna polityka finansowa mogłaby się cofnąć przed tak produkcyjnym wydatkiem. Na szczęście, rząd nasz jej nie uprawia — kończył swe wywody dziennikarz węgierski.

A ja zamyśliłem się nad polską polityką finansową, widzącą kasy skarbowe, a nie dostrzegającą z poza nich kraju...

Krytycy a publiczność

Od jednego ze znanych naszych miłośników teatru otrzymujemy garść następujących uwag:

— Nigdy zapewne nie było jeszcze u nas większego rozdźwięku między krytyką teatralną a publicznością. Co prawda, nigdy też i rozbieżności między poszczególnymi koryfeuszami naszej krytyki nie były jaskrawsze.

Ta sama sztuka, przez jednych żywo wychwalana, przez innych bywa niemiłosiernie poniewierana. Gdy chwalba odezwie się zgodnym chórem, sztuka zazwyczaj nie doznaje żadnego powodzenia u publiczności i staje się klęską teatru.

W stosunku do polskich autorów krytyka bywa przeważnie bezlitosna. Równocześnie jednak wymaga od teatrów, aby służyły repertuarowi polskiemu.

Zaiste, w tych warunkach — i wobec dzisiejszego przesilenia — położenie teatrów staje się coraz trudniejsze. Już dwa większe teatry warszawskie zawiesiły przedstawienia. Inne prowadzą rozpaczliwą walkę o istnienie.

Ta walka o istnienie, to walka o publiczność. A nigdy może publiczność nie była bardziej zagadkową. Dawna, zamożniejsza burżuazja, która stanowiła fundament kasowy, — zrujnowana, skłopotana, rzadkim stała się na widowniach gościem. Ziemiaństwo przestało przyjeżdżać do Warszawy. Teatry liczyć się muszą głównie z inteligencją pracującą, niezamożną, ale żywotną. Są to w niemałej części nowe warstwy bywalców teatralnych, wyszkolone na kinematografach, nie gardzące, jak przekonały ostatnie doświadczenia, ani walkami atletów, ani potwornemi konkursami tanecznemi. W jaki sposób zdobyć tę publiczność dla teatru? Jakiemi sztukami ją ściągnąć?

Byłoby to pięknem zadaniem, gdyby krytyka chciała zająć się wyświetleniem tych zagadnień. W grę wchodzi nietylko repertuar, ale wprost egzystencja teatrów. Lecz sprawy te należałoby traktować z życzliwością. Krytyka nie może odnosić się do teatrów ze stałą złośliwością i niechęcią. Miast gorzkich wymówek przydałoby się trochę przychylnych wskazówek i rad. Krytyka winna być czynnikiem współdziałającym z autorem i teatrem.

Zielony Express

(—) Do niedawna pomiędzy Łodzią a Warszawą kursował pociąg, powszechnie znany pod nazwą „Zielony Express". Nazwa ta, pomimo analogji z ponurym Schanghai-Express'em, będącym terenem sercowych powikłań „boskiej Marleny" — nie nosiła w sobie zadatków tragedji. Był to bowiem popularny pociąg turystyczny, którym spragnieni rozrywki Łodzianie mogli wygodnie (numerowane miejsca), za małą opłatą — przybyć na „week-end" do Warszawy. Miłą tę i pożyteczną rozrywkę przerwał bezlitośnie nakaz wstrzymania pociągu, wydany przez Warszawską Dyrekcję P. K. P., która widziała w nim „groźną" konkurencję(!) dla zwykłych pociągów pasażerskich.

W związku z tem otrzymaliśmy garść uwag od p. Marjana Dienstl-Dąbrowy o konieczności utworzenia w Warszawie instytucji, rozpowszechnionej w większych miastach Europy, p. n. „Syndykatu Inicjatywy".

Zadaniem takiej organizacji byłoby popieranie ruchu turystycznego wewnątrz kraju, a zwłaszcza skierowanie go ku stolicy, która jest dla większości „prowincjałów" przysłowiową terra incognita.

Warszawa musiałaby też czynnie poprzeć — we własnym interesie — tego rodzaju instytucję, przeznaczając szereg ulgowych biletów do teatrów, muzeów i kin. Hotele też powinny zrezygnować z wygórowanych opłat za pokoje, umożliwiając tem samem parodniowy pobyt w stolicy średnio-zamożnemu turyście.

„Niepoprawny romantyk", jak sam o sobie pisze, p. Dienstl-Dąbrowa wyraża też nadzieję, że kult prawdziwej sztuki nie zamarł jeszcze w całym kraju i — ożywiony napływem turystów do stolicy — podnieci inicjatywę w tworzeniu nowych atrakcji artystycznych, „które staną się magnesem przyciągającym tłumy swoich i obcych turystów".

Koniec stuletniej cukierni

(ivr) W kołach stałych bywalców kawiarnianych, a zwłaszcza wśród aktorów i miłośników bilardu, niemałą sensację wywołała wiadomość o eksmisji z gmachu hotelu Europejskiego w Warszawie jednej z najstarszych cukierni, popularnego Lourse'a.

Firma od dłuższego czasu zalegała z opłatą komornego, a gdy dług doszedł do sumy 36.000 zł., sprawa zakończyła się niemiłym epilogiem w sądzie. Podobno przyczyną zadłużenia jest nietyle zmniejszona frekwencja, co gospodarka obecnego właściciela, cudzoziemca, który wszystkie wpływy lokuje w swoje przedsiębiorstwa zagraniczne, nie licząc się zupełnie z interesami warszawskiej cukierni.

Po stu latach istnienia popularny Lourse ma zniknąć. Zarząd hotelu Europejskiego zamierza otworzyć w tym lokalu . . . bar.

Nadprodukcja lwów

(j) Ogrody zoologiczne we wszystkich stolicach Europy znalazły się w wielkim kłopocie z powodu nadmiaru lwów. Król zwierząt doskonale się rozmnaża w niewoli, a kryzys dotknął i cyrki, i mniejsze zwierzyńce i innych nabywców drapieżnych zwierząt. Cena młodego lwa spadła ze 150 funtów z przed 4-ch lat do . . . 15 funtów. Rasowy piesek jest dzisiaj więcej wart, niż rasowy lew!

Ale nie na tem koniec. Nadmiar lwów odczuwa się również i tam, gdzie zwierzęta rozmnażają się na wolności. Zabrakło bogatych myśliwych, polujących w Afryce na grubą zwierzynę; wycieczki myśliwskie są zbyt kosztowne w dzisiejszych czasach. Odstrzał lwów jest coraz mniejszy, i ludność Konga i niektórych innych krajów afrykańskich jest całkiem poważnie zaniepokojona napadami drapieżników, rosnących w liczbę z zastraszającą szybkością.

Złe czasy dla ludzi okazały się dobremi czasami dla zwierząt. Lwy przynajmniej pamiętać będą lata kryzysowe, jako lata spokoju i bezpieczeństwa.

WŚRÓD WINNIC I PAWIANÓW

Wrażenia z Afryki Południowej

IV. WZOROWA FARMA

(Dokończenie).

Wprawo od nas, tuż obok, skaliste zbocza, urwiste, poszarpane. Wśród nich dużo różnych krzewów i niewielkich drzew. Wszędzie, gdzie choćby w minimalnych ilościach zalegla ziemia, wyrastają zbitą, jednolitą warstwą drobne, czołgające się kaktusy. Wciskają się one w każdą szczelinę, pozwalając jeno kamieniom z pośród siebie wyglądać. Mienią, iskrzą się różnemi kolorami; czerwień, amarant przeważa. Nie znalazły się tu one z własnej i nieprzymuszonej woli; ręka artysty-gospodarza im tu rosnąć kazała. Wzbudzają zachwyt.

Raz-po-raz mijają nas, rozpięte nad drogą, pergole... Zwisają z nich girlandy bladych glicynji, ognistofiołkowe masy pnącej Bougainwillea'i.

Zachwyt nasz rośnie.

Jak okiem sięgnąć, zaraz od drogi, biegną równo zasadzone rzędy drzew, okrytych owocem lśniącolistnych pomarańcz, cytryn i nisko pnące się na drutach krzaki szlachetnych winogron. Podjeżdżamy do kilku gospodarskich zabudowań, spozierając z zaciekawieniem na różnorodne gatunki eukaliptusów, gęsto obsypanych szyszkami, przypominającemi kształtem główki kieliszki do reńskiego wina.

Po kilku lekkich wirażach, zatrzymujemy się w ogromnym, kolistym wykopie. Otacza nas kilkometrowej wysokości ściana z łamanego piaskowca. Zewsząd zwisają z niej pnące się, pełne kwiatów, rośliny. Rozwiązanie tego, jedynego w swoim rodzaju, „parking place", jest wprost kapitalne.

Z szerokich stopni schodowych, prześcigając się i koziołkując, gna ku nam z radosnem szczekaniem, sfora psów. Za niemi ukazują się sylwetki gospodarzy. Jesteśmy już wśród nich; serdecznie witają i mocno ściskają nam dłonie. Ogólne „Hallo"!

Prowadzą nas schodami w górę. Wstępując teraz zwolna, stopień po stopniu, otwieramy coraz bardziej oczy na ten, bez przesady, niezwykle piękny, bajecznie kolorowy obraz, złożony z tworów ludzkiej ręki i dziwów natury podzwrotnikowej.

Dość niski, zagmatwany kompleks domów, to parterowy, to znów piętrowy, chowa się pod szarawą strzechę. Bogaty okap rzuca ultramarynowy cień. Od bielonych ścian aż ślepną oczy. Kominy, rozbieżnie gwintowane, kryte, po kilka razem zgrupowane, śnieżną białością wiercą błękit nieba. Różnorodnych okien jest cała moc: to pionowe, to podłużne, czasem cisną się obok siebie po dwa, po trzy. Jedno w nich wielkie — to szachownica drobnych, igrających w świetle szybek, oprawnych w ołów starą modą.

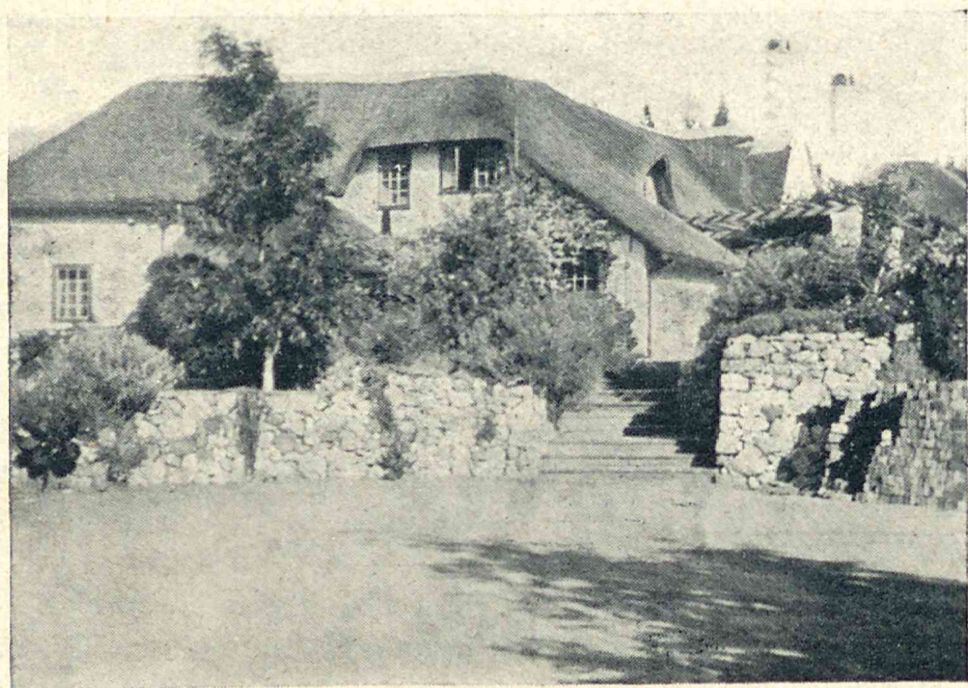


Pan F. C. Lock u siebie

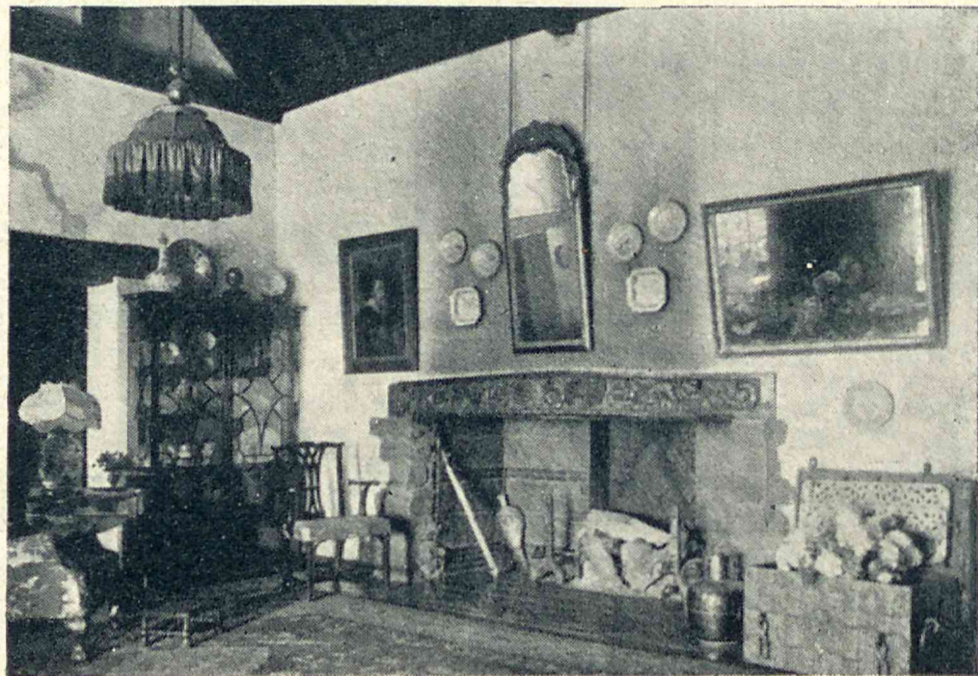
Idziemy kamienną, z łupanych tafli ułożoną ścieżką. Szczeliny wypełnia trawa. Tak lubi Anglja, to jej styl. Łamią się wokoło domu drogi, dróżki. Coraz są stopnie. Każdy skłon pokrywa złom kamieni. Wśród nich kaktusy i kwiaty. „Rock Garden", jak się tu mówi.

Ogarnia nas wreszcie miły chłód. Jesteśmy w domu. Narazie nie widzimy nic. Sprawia to kontrast między cieniem i nadmiarem światła. Przyzwyczajamy się. Podziwiamy teraz wnętrze domu. Toć przecie cały swój dotychczasowy fach pan Lock miał możność tu w pełni wyzyskać. Ma się wrażenie, że wszystko, co się wewnątrz widzi, składa się z setek artystycznych plansz, ręką mistrza malowanych i zestawionych w całość. Czy to z cegiełek ułożony wzór posadzki, czy okucia, klamki prostych, zdawałoby się, drzwi, ustawienie charakterystycznego mebla, zydla, słomą pokrytego, skrzyni, lub stolika, — każda rzecz ma w sobie „charme" stuleci. Świecą srebra, mosiądze, miedź. Matowo wyglądają przy nich spatynowane, stare cyny.

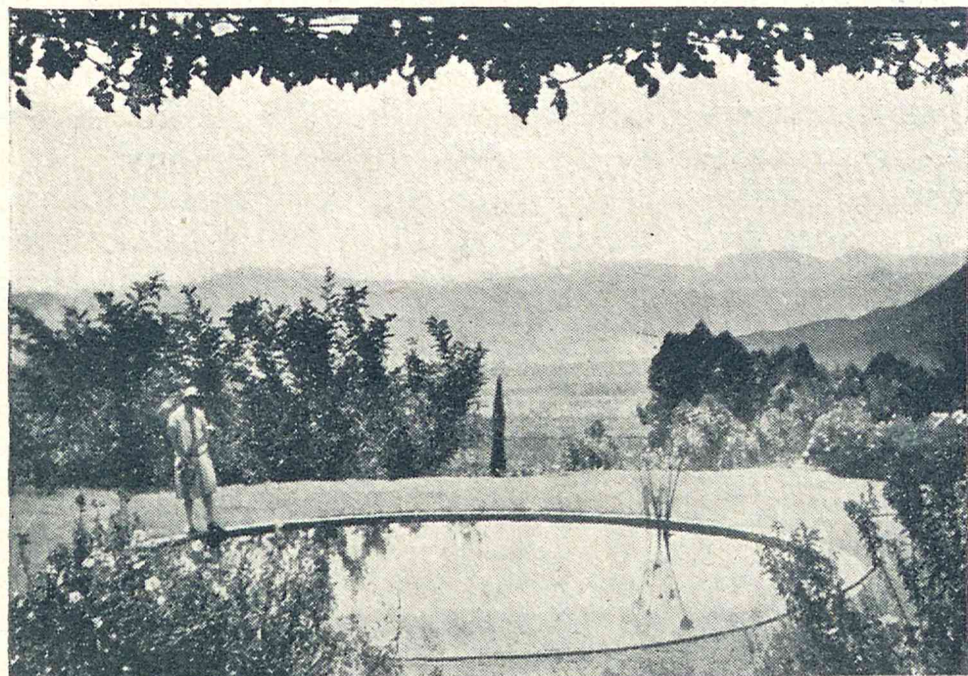
Łamanym korytarzem przedostajemy się do olbrzymiego hallu. Jest piętrowy, — gdyż brak mu sufitu. Rozpięty dach widać w całości. Krzyżują się w górze okrągłe, lekkie, olejem pociągnięte krokwie. Twarda, zbita trawa strzechy, mu-



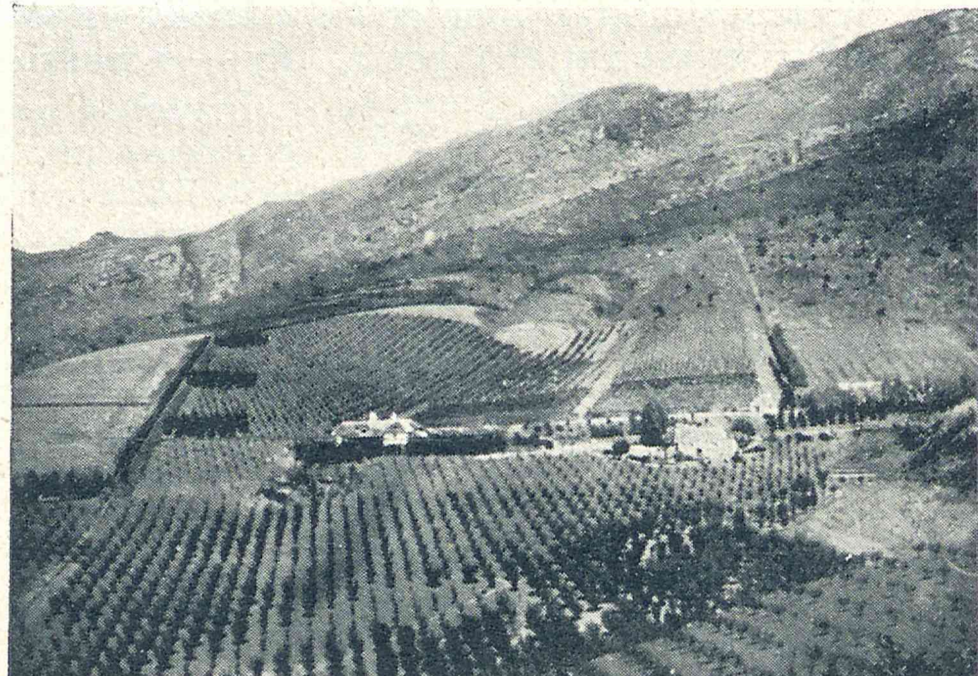
Dom mieszkalny w Bartinney



Holl domu w Bartinney



Basen przed werandą z rozległym widokiem



Ogólny wygląd farmy owocowej

rzyńską misternie ułożona ręką, jest hermetyczna, nie przepuszcza kropli deszczu. W hallu panuje mrok. Dużo stylowych mebli. Miękkie dywany tłumią głos. Na głównej ścianie „Fire side", kominek — sanktuarjum domu, gdy chłód lub niepogoda. Cały dom napełnia miły, specyficzny zapach. To pachnie rozpalony od słońca dach.

Wtem gong...

— Tea is ready, oznajmia białoubrany „boy".

Gong... Wszędzie weń biją, gdziekolwiek „czarny" „białemu" usługuje. Stał się przyzwyczajeniem dla białego; dla murzyna podniecającą namiętnością. Biją weń z kunsztem i rytmicznie, pięć razy dziennie, w całej, przeogromnej Afryce...

Przeszliśmy wszyscy na werandę. Jest ona pomyślana tak, że widać całą dolinę. Cóż o niej napisać?

Nie wystarczy tu siąść bodaj na kilka godzin, by się napatrzeć. Tu trzeba mieszkać, z widokiem tym się zżyć. Widywać zrana, gdy tę bezmierną przestrzeń zalega mgła, a za górami wstaje słońce; w południe, gdy wszystko pławi się w upale, lśni i drga; a cóż dopiero wieczorami, po zachodzie, gdy odbywa się gra kolorów, jaskrawych, mocnych, lub półtonów, przechodząc wreszcie w noc, noc pełną gwiazd...

Z otoczenia werandy widać, że miejscu temu godną chciano dać oprawę. Wygodne, wyplatane meble; maty murzyńskie, drobno tkane, kryją posadzkę; zwisają zwoje pnących roślin. Kilka z cegły układanych stopni prowadzi na obszerny trawnik, zbity, twardy. Pośrodku okrągły basen, w którym pluszcze fontanną małe źródło.

Dom z tej strony przeróżne otaczają krzewy i kwiaty. Są najdziwaczniejszych kształtów, nie pachną jednak wcale. W oddali, gdzie się teren zniża, rosną cyprysy, strzeliste, wiotkie. Gną się na wietrze...

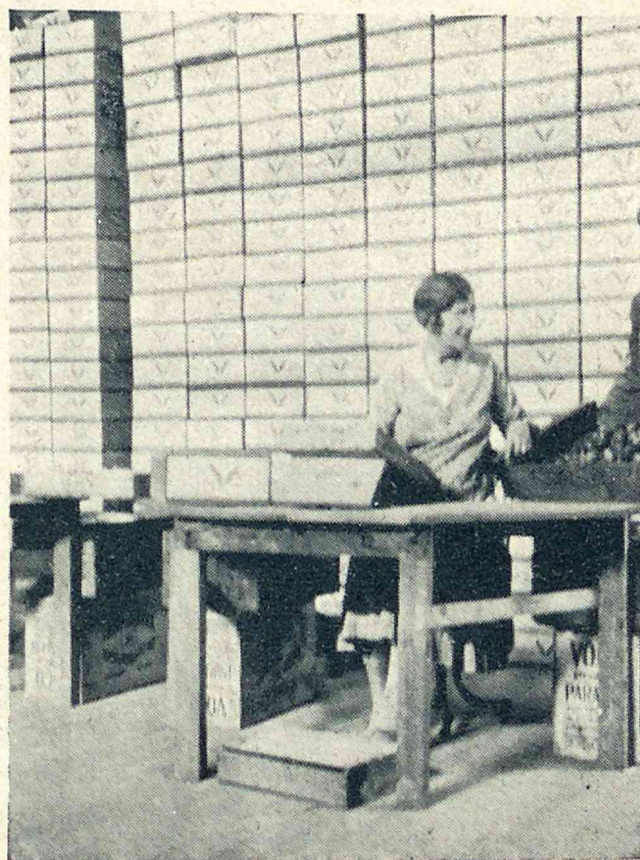
* * *

Gdyby na świecie nie było równowagi między romantyzmem a codziennym „businessem", to cały piękny dom w zacisznem Bartinney długo by się nie ostał.

Wyruszyliśmy całą gromadą na sprawdzenie, jak się rzeczy mają z tą równowagą.

Okazało się, że pierwsze trzy lata były same wydatki, żadnych wpływów. W czwartym roku zaczęto osobiście pierwsze zbiory konsumować, badać gatunki. Dopiero w piątym i szóstym wysłano pierwsze skrzynki za morze via chłodnie kooperatywy w Stellenbosch'u.

Zwiedzamy sad. Oglądamy drzewa. Winogrona prezentują się najokazalej. Nie sam owoc narazie, bo kiście formują się dopiero i będą gotowe za miesiąc, ale warunki, w jakich tu rosną. Wszędzie malowane pale, śrubami naciągane cynkowane druty, na nich prowadzone łozy. Ład i porządek, wzorowa czystość, a wzruszona ziemia tak pulchna, że między rzędami niepodobna chodzić.



Pakownia owoców

Idziemy do pakowni. Duży budynek z górnem światłem. Wokoło puste skrzynki poustawiane, jak bombonierki. Wszystkie zaopatrzone w naklejki z orłem w locie — godłem Bartinney. Jest niedziela, pakownia więc nieczynna. Pośrodku gładkie, duże stoły. Przy nich poustawiane dziwnych kształtów, skomplikowane, mechaniczne krzesła. Siadamy. Możemy robić wszelkie dowolne ruchy, w prawo, w lewo, górna część krzesła chodzi za nami. Elastyczności takiej wymaga niezmierna ilość drobnych ruchów, wykonywanych przy pakowaniu.

— Kto pakuje? — pytamy.

— Oczywiście „czarni", choć jest także kilka „kolorowych" kobiet.

Przy wyjściu spostrzegamy skrzynkę pełną stempli kauczukowych. Są tam nazwy rodzajów hodowanych tu owoców, numeratory, datowniki etc., niczem w urzędzie. Na ścianie wiszą przepisy i wskazówki dla rozpoznawania chorób drzew i owoców.

— Nie mieliśmy tu szczęśliwie dotąd żadnej mikrobowej plagi, zato mamy codzień liczne wizyty... pawianów, informuje pan Lock.

— Jakto? — zapytujemy zdziwieni.

— Jest to trudna do zwalczenia plaga sadów afrykańskich. Pawiany z okolicznych gór o świcie przychodzą z rodzinami... na pierwsze śniadanie. Zagrody dla nich niema żadnej, a „strachy" są dobre w Europie... na wróble. Podchodzą bardzo ostrożnie. Na grzbietach matek „jadą" małe. W swoim rodzaju jest to ciekawy widok. Samce na drzewach dobierają owoce, oczy-

wiście, najdelikatniejsze i najdojrzalsze. Nim na nie natrafią, psują setki brzoskwiń, moreli, gruszek, jabłek, a w sezonie winogron. Gdy mają dość, zaczyna się poprostu zabawa w piłkę. Radzimy sobie różnie. Mieliśmy kilka dobrych psów, ogromnych wilków. Zostały z nich dosłownie tylko strzępy. Pawian gromadnie jest niebezpieczny. Ma straszny zgryz i mocny chwyt. Jest czujny, więc po codziennych niemal polowaniach rzadko pozostawia nam swą piękną skórę.

— A co jest w tych dwu budynkach?

— To obora, a tam maślarnia, osobiste gospodarstwo.

Zajrzeliśmy. Kilkanaście krów. Zadziwiająca czystość, woda bieżąca w żłobach, elektryczność.

— Jak z paszą?

— Mamy plantację specjalnego gatunku melonów i dyń, jest też i trawa.

— Skąd biorą państwo wodę?

— Jest przeprowadzona wszędzie: w domu, w winnicach, sadach, budynkach gospodarczych. Płynie rurami z górskich źródeł, bardzo smaczna i zdrowa.

— A skąd prąd elektryczny?

— Własne dynamo i benzynowy motor.

Spojrzeliśmy po sobie. Pan Lock uśmiechnął się i zapytał:

— A wzięli państwo z sobą kostjumy kąpielowe?

— Skąd? Przecież z nad morza przyjechaliśmy w góry.

— To szkoda, — rzekł pan Lock, — mielibyście dla odmiany źródlaną kąpiel.

— Gdzie?

— Każda posiadłość wiejska, prócz łazienek w domu, ma tu, ze względu na gorący klimat, olbrzymich rozmiarów pływalnię.

Oglądamy ten basen z cementu. Wokoło zamiast piaszczystej plaży — piękny trawnik. W kilku miejscach, pękami, rośnie jakaś trawa.

— Co to?

— Lawenda.

— Słowem, jakby „Bain de Madame" d'Houbigant...

— Sorry, Old English Lavender.

Z poza zarośli wyziera wysoka trzcina. To bambus. Na dwu-trzech jego tyczkach, wśród delikatnych gałązek listowia, wiszą, kołysząc się w wietrze, gniazda czerwonodziobych afrykańskich zięb.

Ma się już jednak pod wieczór, wracamy więc pomału do domu.

Po drodze widzimy jeszcze zagajnik fig. Każde drzewo innego gatunku. Odróżnia je inaczej wykrojony liść. Widocznie natura, tworząc ten pierwszy na świecie dla człowieka strój, pomyślała już wtedy — o modzie.

Przechodząc przez korytarz, wyczuwamy nad głowami, pod sufitem, jakiś ruch. Jaskółki. Założyły sobie wewnątrz, gdy dom był w budowie, gniazdko. Zostało uszanowane, jako „porte bonheur".

Sprawdziło się.

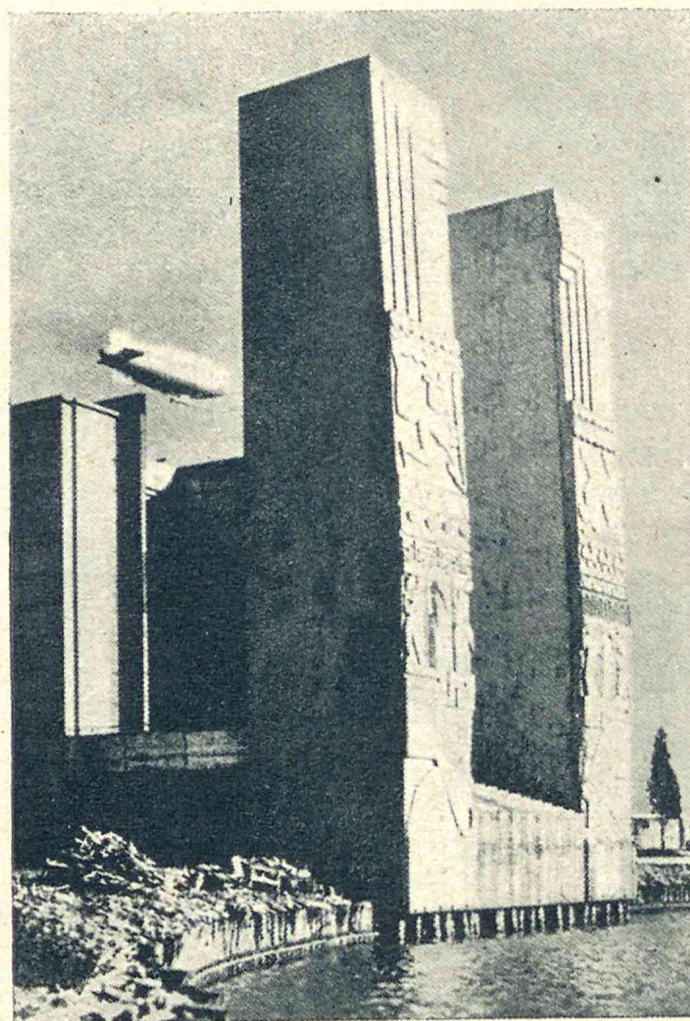
Przyniesione przez jaskółki szczęście zagnieździło się w tym domu na dobre i rozrosło po całem Bartinney...

Oszołomieni wracaliśmy do domu, nie mówiąc nic do siebie.

Uznanie dla tego niepospolitego człowieka, który u schyłku życia nie uląkł się rozkopać dziewiczą, daleką afrykańską ziemię i postawić na nogi coś tak wspaniałego, nie wymagało słów.

Jan Majewski

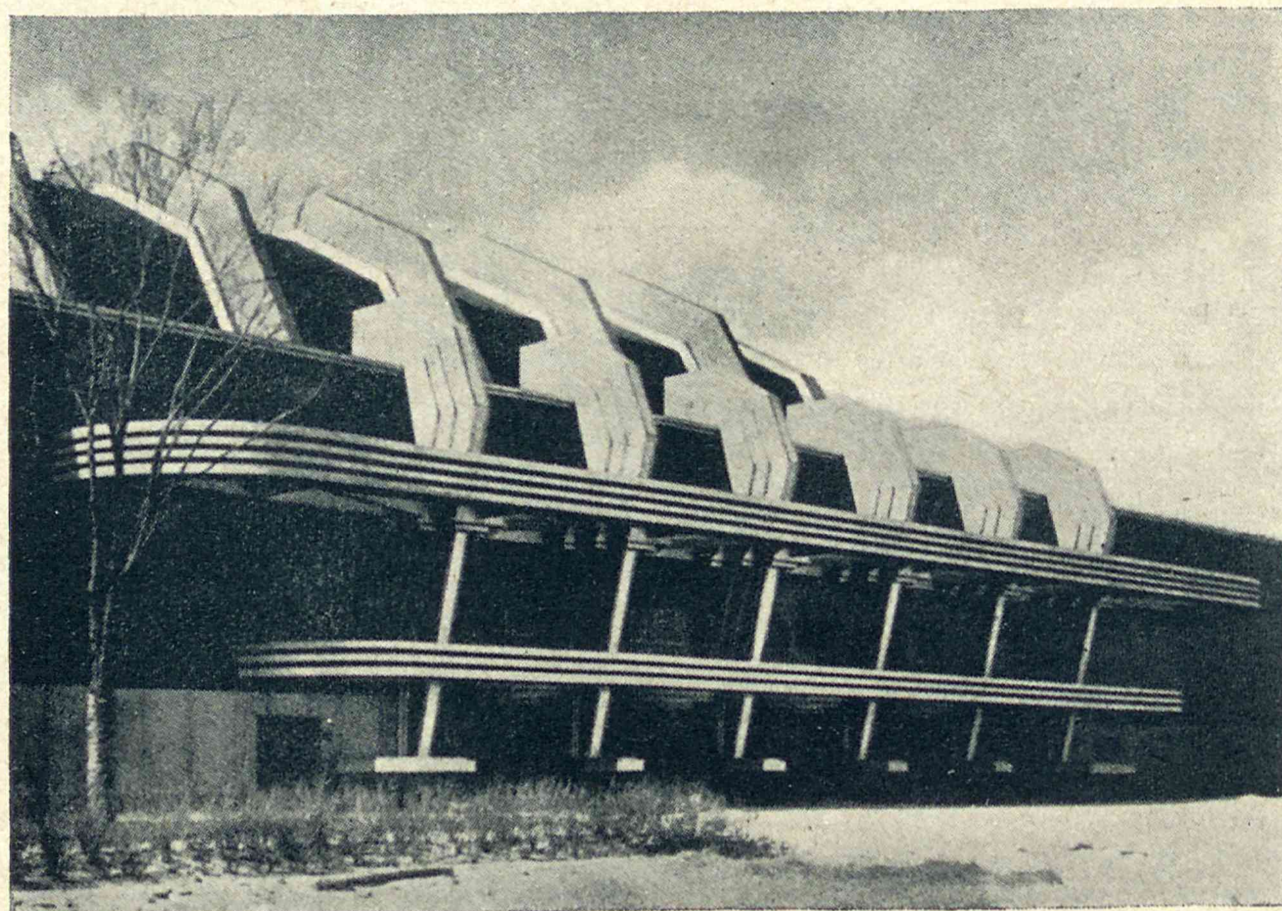
Otwarcie Wystawy Międzynarodowej „Sto lat postępu" w Chicago



Dwie wieże, broniące śluzy do turbin elektrycznych

„Stuleciem postępu" nazywa się światowa wystawa w Chicago, otwarta w dn. 27 maja. Jest to naprawdę apoteoza nowoczesności i postępu, szczególnie w dziedzinie techniki. Jest wystawą cudów technicznych. Jest sama cudem sztuki budowlanej, wrzynając się sztucznym półwyspem na kilka kilometrów w jezioro Michigan. Na kilka miesięcy przed otwarciem wystawy zabrakło terenu: nie tracąc czasu, wbito w dno jeziora 10.000 pali zapomocą hydraulicznych młotów i rozkazano czteromiljonowemu miastu, aby swoje śmiecie, resztki budowlane, odpadki wszelkiego rodzaju wsypywało do jeziora. W ciągu kilku tygodni dziesiątki tysięcy wozów ciągnęły ku jezioru — i wyłonił się z toni stały grunt pod wystawę!

Wyszczególnienie najciekawszych cho-

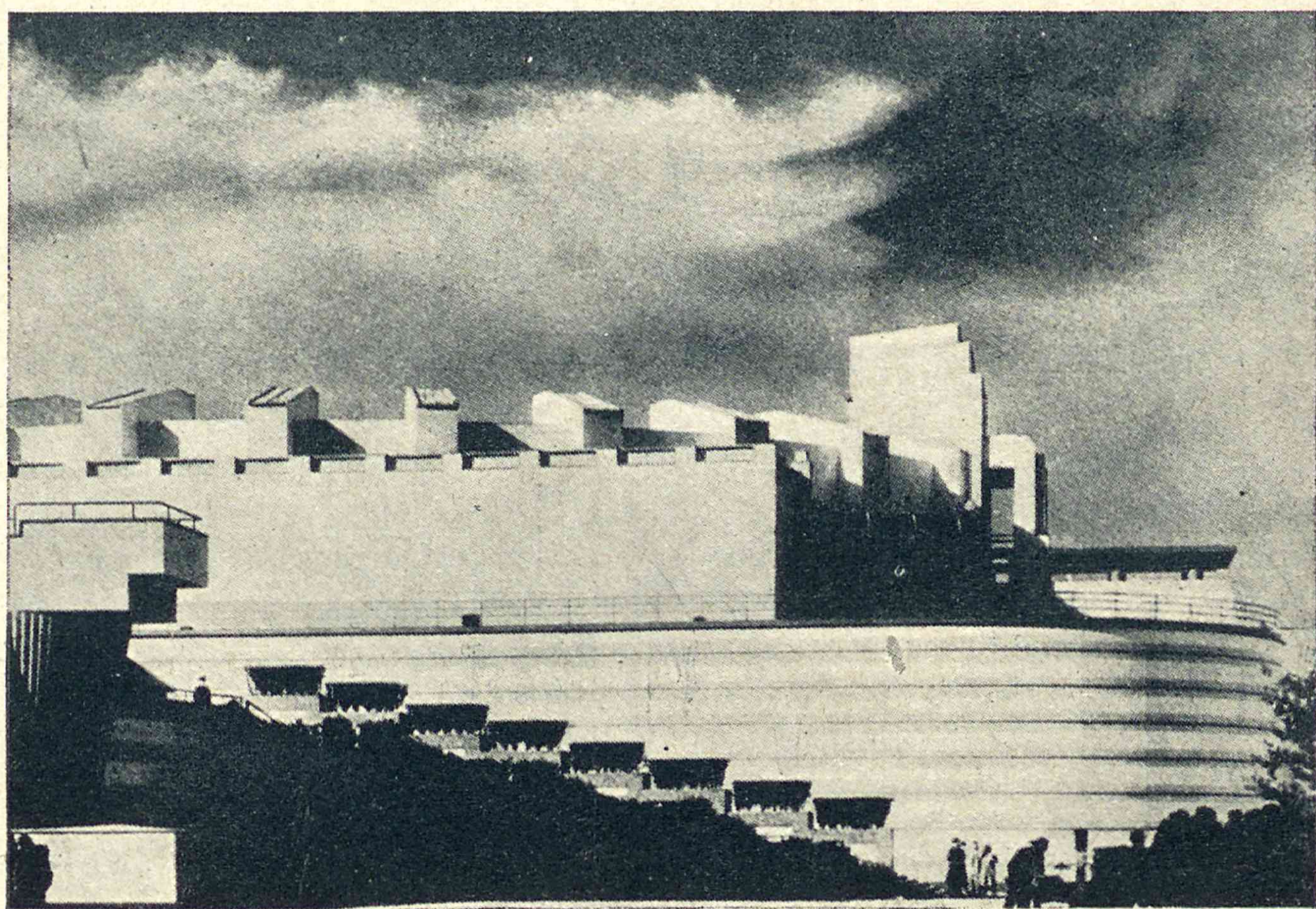


Pawilon morski, zawierający reprodukcję okrętu transoceanicznego

Dzielnica handlowa Chicago, mieszcząca domy towarowe, składy towarzystw nawigacyjnych, doki itp.

ciażby eksponatów zajęłoby całe stronice. Jest tam mechanizm, który wykonywa wszelkie czynności organizmu ludzkiego. Jest oddychający dom, z dachem unoszącym się w górę, kiedy temperatura wewnątrz wzrasta, i opadającym, kiedy robi się zimno. Jest kolejka rakietowa na linie między dwiema wieżami wysokości 200 metrów. Jest model kopalni djamentów, mała pokazowa fabryczka chemiczna, geologiczna zabawka, powtarzająca w ciągu kilku minut dzieje Ziemi na przeciągu 2 miljonów lat...

Otwarcie wystawy nastąpiło w ten sposób, że schwytano zapomocą silnych szkieł promienie gwiazdy Arcturus, które rozpoczęły swą podróż równo 40 lat temu, kiedy otwarto ówczesną wystawę chicagoską. Promienie te wzmocniono kilka tysięcy razy, tak, aby mogły puścić w ruch mechanizm, włączający miljony świec elektrycznych, iluminujących wystawę!



Skrzydło wielkiej hali nauki



H. Szczygliński *„W parku"*



Wlastimil Hofman *„Na drodze"*

UCZNIOWIE STANISŁAWSKIEGO

Malarstwo polskie nie miało nigdy nauczyciela, któryby nadał uczniom swym tak wyraźny i świetny w skutkach kierunek, jak uczynił to Jan Stanisławski.

Nie krępując indywidualności artystycznych i podsycając jeszcze samodzielność swych uczniów, stworzył szkołę w wielkim stylu, równą tym, jakie powstawały w szczęśliwej epoce Odrodzenia.

Doniosłość zaś pedagogji Stanisławskiego polega na tem, że nie narzucił nikomu swej własnej maniery artystycznej, nikogo nie upodobnił do siebie, lecz w setki swych wychowanków, którzy przesunęli się przez jego pracownię, tchnął wielką ideę:

— Maluj ziemię polską!

Tem dziwniejszą była ta nauka, bo zjawiała się w czasach internacjonalizmu artystycznego i zupełnego spostponowania tematu w sztuce, którym tak rozrzutnie szafował Matejko i jego świta.

Idea rzucona przez Stanisławskiego trafiła do przekonania i malarstwo krajobrazu zakwitnęło w Polsce tak bujnie, jak nigdy dotąd. Punktem wyjścia dla całej szkoły były najbliższe okolice Krakowa, tam odbywały się „ćwiczenia w terenie", do których Stanisławski przywiązywał szczególną wagę i prowadził z właściwym sobie zapałem.

Wyprawy na wieś pogłębiały tę atmosferę, jaką wokół wsi krakowskiej wytworzyli malarze folkloru, w pierwszym zaś rzędzie: Włodzimierz Tetmajer z Bronowic. Do „bajecznie kolorowego" ludu zbliżali się artyści i inteligencja polska z namaszczeniem i podziwem, odkrywali bowiem coś nieznanego sobie a tak bliskiego.

Z tego nastroju urodziło się przecież „Wesele" Wyspiańskiego.

Wyćwiczeni w krakowskim terenie uczniowie Stanisławskiego rozbiegli się po całym kraju, wywędrowali na Zadnieprze, osiedlili się na Litwie, jak: Wilkomirski i Bujko, lub nawet do Australji pojechali robić malarską karjerę.

Pozostali stworzyli w Polsce elitę malarską o wysokim poziomie artystycznym i niepospolitych zasługach społecznych.

Jeśli aktualnem staje się w tej chwili hasło „państwowotwórczej sztuki", to bez wahania rzec można, że uczniowie Stanisławskiego muszą być wysunięci na czoło tej idei.

Pokazali bowiem piękno ziemi polskiej i polskiej przyrody i miłość swoją do niej przenieśli na masy. Nikt przed nimi nie uczynił tego tak wszechstronnie i z taką pasją. Więc Filipkiewicza i Gałka pochłonęły Tatry, Kamockiego i Karszniewicza najbliższe okolice Krakowa, Procajłowicza Podole, Ziomka i Kowalewskiego Mazowsze, Szczyglińskiego Polesie, Kieleckie i Beskid wschodni, Podgórskiego Podkarpacie, St. Czajkowskiego Podkarpacie i okolice Kazimierza.

Ta „Pieśń o ziemi naszej", wyśpiewana w barwach przez plejadę uzdolnionych malarzy, pokazała piękno ukryte w drzewach, łąkach, górach i wodach polskich, rozsławiła pyszne barwami polskie jesienie i majestatyczne zimy, na szarych polach zjawiła się „dusza osmętnica" i stanęła u przydrożnych kapliczek, aby rozmódlić się smutkiem, który nas trawił.

Piękna stała się Polska nietylko w intelektualnej świadomości, ale w żywem dziele artysty.

I duch ten przeszedł na całe polskie malarstwo i utrwalił w niem swe panowanie.

Witołd Bunikiewicz



Jerzy Karszniewicz Fot. A. Janczewska *„Cisza"*

„TEN STARY WARJAT" W TEATRZE LETNIM

Skłóciły się bardzo poważnie ze sobą pióra krytyczne w ocenie najnowszej komedji Stefana Kiedrzyńskiego...

„Ostatniemi czasy w psychologji postaci i w atmosferze faktów scenicznych, tworzonych przez Kiedrzyńskiego, zaszły poważne zmiany — pisze W(acław) F(ilochowski) w „Gaz. Warszawskiej". — W komedjach tego autora coraz wyraźniej dźwięczy nuta swoistego liryzmu..."

Na przeciwległym biegunie opinji staje W(incenty) R(zymowski) w „Kurj. Porannym", utrzymując, że „ci, którym zdarzyło się widzieć na scenie jedną lub drugą sztukę tego autora — już wszystkie je znają na pamięć". Kiedrzyński — według Rzymowskiego — nie jest pozbawiony realizmu nawet „w drapieżne zbrojnego szpony", ale jego instynkt prawdy i szczerości nie zdobył właściwego instrumentu ekspresji artystycznej, a środki, któremi się posługuje, „są rozbrajające"...

Djametralnie znów przeciwnego zdania jest Tadeusz Kończyc w „Kurjerze Warszawskim":

„Głębia uczucia zamknięta jest w tych nawskroś dramatycznych sytuacjach, urastających do wyżyn tragedji ludzkich serc, zamkniętych w fatalnem kolisku skomplikowanych namiętności i uczuć"... „*Tryumf autora jest zupełny* (podkr. nasze)"... „Osiągnął to, co jest rzadkim przywilejem twórców, zwłaszcza tych, którzy piszą dla sceny: zainteresowanie jego utworem narasta i dochodzi do punktu kulminacyjnego w samym finale... Ten finał to *mistrzowskie pociągnięcie ze strony autora* (podkr. nasze)"...

Trzy krytyki — trzy różne oceny. Trzy różne „kąty widzenia".

A tymczasem te wszystkie *contradictiones* krytyczne, te rzekome zmiany i niezmienności, całe to pozornie *skomplikowane życie* artystyczne nowego



Kurnakowicz, jako uliczny handlarz psów, i Mila Kamińska, jako porywcza w swych uczuciach wdowa Fot. J. Malarski

Nieoceniony, witany stale oklaskami Antoni Fertner i jego towarzysze, przyjaciele znękanego poczciwca Kurnakowicza

Najnowsza komedja Stefana Kiedrzyńskiego w Teatrze Letnim

Dwie ładne kobiety, zakochane w jednym młodym chłopaku (Michalak): Mila Kamińska i Nakonieczna

Fertner grozi Dominiakowi czynną sanacją: — I sprawię panu takie manto, że... Fot. J. Malarski

utworu świetnego dramaturga — to poprostu Stefana Kiedrzyńskiego *powrót do grzechu* pierworodnego twórczości... *Ten stary warjat* po okresie *czystych interesów* (rynkowo-literackich) nawraca znów do ulubionej przez autora a wyrafinowanej *gry serc*, za niebezpieczną *zabawę w miłość kobiety*, miłującej *wino i dancing*, płacąc dwojgu bohaterom nieoczekiwanem, głęboko wzruszającem *szczęściem od jutra* — jako że na tym najokrutniejszym ze światów *niczemu się nie można dziwić...*

Najnowsza komedja Kiedrzyńskiego to błyskotliwy aliaż „refleksów czechowskich" (czy nie słuszniej: czechowowskich?) — jak chce W. F. w „Gaz. Warsz." — dalej: bolesławowoprusowskich, a dalej (i w największym stopniu oczywiście) typowo kiedrzyńskich, zaś wszystko razem skrzepione arcytęgim, lapidarnie przekonywującym, chwilami aż *za polskim* temperamentem dramatopisarskim jednego z najlepszych majstrów teatralnych, jakich wydała i posiada spółczesna Polska.

I co za role dał znów wykonawcom „Ten stary warjat"! Ile nazwisk na afiszu, tyle aktorskiej okazji do wygrania, do wyżycia się!

Z kobiet jest, ma się rozumieć, Mila Kamińska, czarująco-finezyjny „spec" od Kiedrzyńskiego, jego szczęście autorskie od wczoraj, od dziś i napewno od jutra. Z mężczyzn prym w rozkosznej kapeli pod energiczną pałeczką Chaberskiego trzymają tacy grajkowie, jak: Fertner (tym razem nawet „Antoś"), Kurnakowicz i Orwid! Dają naprzemian to śmiech, to łzę wzruszenia (brawo, Kurnakowicz!), to znów śmiech (brawo, brawo Fertner!!)...

Zbyteczne dodawać, że sukces premjery był ogromny. Oklaski, wywoływania autora, kwiaty, jeszcze raz oklaski: w ciągu akcji, po skończeniu, po „kwestjach", wśród kwestyj... zwykły obraz premjer Stefana Kiedrzyńskiego.

W kilku wierszach

Ludwik Solski odznaczony złotym Krzyżem Zasługi

Dyrektor Ludwik Solski, bawiący obecnie na występach gościnnych w Teatrze Krakowskim, został, jak donoszą pisma krakowskie, obdarzony złotym Krzyżem Zasługi. Na przedstawieniu premjerowem „Pana Jowialskiego", które miało charakter wielkiej uroczystości jubileuszowej, wojewoda krakowski osobiście udekorował wielkiego artystę, a instytucje artystyczne i literackie Krakowa przez swoich delegatów złożyły Mu hołd w podniosłych przemówieniach.

NOWY „GWÓŹDŹ" REKLAMOWY W TEATRACH PARYSKICH

Dyrektorzy teatru paryskiego *„De la Madeleine"* pp.: Trébor i Andrzej Brulé (znany artysta dramatyczny) wpadli na oryginalny pomysł zapełnienia widzom antraktu. Oto po akcie I-ym wychodzi przed rampę jeden z grających artystów i oświadcza: „Szanowni państwo, podczas gdy mój pan (artysta gra rolę służącego) będzie się przebierał za sceną, zechcą państwo przyjść na scenę, aby obejrzeć jego galerję obrazów".

I rzeczywiście pokój sceniczny udekorowany jest szeregiem doskonałych płócien współczesnych. Publiczność wytwornego teatru bulwarowego chętnie korzysta z oryginalnej i atrakcyjnej okazji zajrzenia „za kulisy"... Po stosowanym w innym teatrze bulwarowym *truc'u* podpisywania programów przez grających artystów — Teatr „Madeleine" wymyślił nowy sposób zwrócenia na siebie uwagi i przyciągania klijenteli...

Znakomity śpiewak w Warszawie

JAN KIEPURA, dał w Warszawie własny koncert i wystąpił w operze „Turandot"

Nibelungi na jeden wieczór

Niemiecki „trauerspiel" Fryderyka Hebbla *„Nibelungi"* został świeżo wystawiony w wiedeńskim Burgu w nowem opracowaniu tekstu, dokonanem przez Fryderyka Neubauera a zamykającem całość trylogji w ramach jednego wieczoru teatralnego. Przedstawienie trwa od godziny 7-mej do trzy na dwunastą, więc *około 5 godzin.*

Humor teatralny

SAVOIR I SACHA

Znany komedjopisarz francuski — zresztą rodem z Polski — Alfred Savoir (Poznański) napisał niedawno i wystawił na jednej ze scen paryskich komedję z artystycznego życia Paryża p. t. *„La voie lactée"*, w której przedstawił wiernie z życia spisane dzieje miłostek drugiego równie znanego komedjopisarza francuskiego — Sachy Guitry'ego.

Na premjerze podchodzi ktoś do Savoir'a:

— Sacha jest oburzony na pana, że pan w swojej komedji „opisał" jego intymne życie.

— A on od dwudziestu pięciu lat nie robi tego samego w swoich komedjach? — odciął się Savoir...

OSZUST

(NOWELKA)

Podsądny zaczął mówić:

— Zostałem oskarżony o wyrafinowane oszustwo. Określają mój czyn jako przestępstwo z premedytacją, a tymczasem cała ta historja jest przypadkiem. Ot wprost, uległem pokusie, nie mając dość siły, żeby jej nie uledz.

Jestem z zawodu inżynierem. Zredukowali mnie. Jak setki tysięcy innych. Przez pierwszych kilka miesięcy pomagali mi przyjaciele. Potem zaczęła się nędza. Żołądek, przyzwyczajony do dobrego jedzenia, zastrajkował; nie mógł pojąć, dlaczego go tak marnie i rzadko odżywiam. Jednakże ciągle jeszcze chodziłem elegancko ubrany (wyzbycie się garderoby oznaczałoby ostateczną rezygnację); spotykałem więc moc ludzi, po których poznawałem, że mi zazdroszczą...

Owego popołudnia (był piękny, ciepły dzień wiosenny), przechodziłem koło tarasu pierwszorzędnej restauracji. Już nie pamiętam, czy to żołądek wpłynął pobudzająco na moją fantazję, czy też fantazja na żołądek, ale w jednej chwili zrozumiałem, że za minutę będę siedział przy dopiero co opróżnionym stoliku koło balustrady. Nie mogę powiedzieć, żebym chociaż przez jedną sekundę zawahał się co do mojej decyzji, bo właściwie nie była to nawet żadna decyzja.

Nagle więc siedziałem przy stoliku, czytałem „menu" i zamawiałem, zamawiałem moc dań. — — — Teraz już powiedziałem sobie: pal sześć! Palto swoje niedbale przewiesiłem przez balustradę. Nie odczuwałem najmniejszego niepokoju, ani krzty wyrzutów sumienia. Trochę ciekawości, jak się dalej rozwiną wypadki, to było właściwie wszystko. I uczucie strasznego głodu.

Nie wiem, czy w całem mojem naogół dość szczęśliwem życiu przeżyłem kiedykolwiek szczęśliwszą godzinę. Przypuszczam, że chyba nikt nigdy nie spożywał z większą rozkoszą pulardy, szparagów po polsku i nie pił z takiem namaszczeniem białego Bordeaux..

Potem przy czarnej aromatycznej kawie i hawańskiem cygarze musiałem stwierdzić, że dotąd nie spełnił się żaden cud. Robi mi się nieprzyjemnie. Nie to, żebym się bał. Ale jest mi nieprzyjemnie, że będę musiał patrzeć na rozwścieczoną twarz zarządzającego i arogancję kelnerów..! Czuję, że nie mam już dość siły, żeby zaimprowizować jakiś kawał, któryby mi dopomógł wybrnąć z sytuacji. Nie mam już nawet siły prawdzie spojrzeć w oczy...

Nagle dostrzegam, że z przeciwległego chodnika spogląda na mnie złem okiem jakiś nędzarz w łachmanach. Oczywiście, patrzy na bogacza, palącego świetne cygaro...

— Żebyś wiedział... — myślę sobie i właśnie zastanawiam się nad tem, czyby mu nie posłać jakiegoś jedzenia, gdy nagle przebiega on jezdnię, pędzi wprost w moim kierunku, łapie moje palto z balustrady i ucieka.

Starszy kelner zauważył tę scenę. Zanim jednakże zdołał się zorjentować, co się dzieje, nędzarza nie było już widać.

Kelner, blady z przerażenia, podszedł do mego stolika.

— Taki szubrawiec...! Mam nadzieję, że szanowny pan nie miał nic kosztownego w kieszeniach palta, kluczy, albo...

Dopiero w tej chwili zrozumiałem, że jestem uratowany. Gwałtownemi ruchami zacząłem przeszukiwać kieszenie, zerwałem się z miejsca i krzyknąłem:

— Mój portfel! Na litość Boga...!

Zjawił się zarządzający i z trudem udało mu się mnie uspokoić.

— Czy miałem dużo pieniędzy w pugilaresie? — pyta.

— Nie. Koło dwustu pięćdziesięciu franków... Jednakże to bardzo przykre...

Zarządzający serdecznie mnie przepraszał, że właśnie tutaj mi się to przytrafiło. Prosił, bym kiedyindziej zapłacił i wprost gwałtem zmusił mnie do przyjęcia pięćdziesięciu franków drobnemi; ...przecież nie mogę wyjść na ulicę całkowicie bez grosza.

Potem złapano tego złodzieja, który ukradł palto. Oczywiście, zainteresowałem się nim i kiedy dowiedziałem się, że obwiniają go o ukrycie pugilaresu z dwustu pięćdziesięcioma frankami, nie mogłem inaczej uczynić, niż udać się do komisarjatu, by całą tę rzecz wyjaśnić.

Tak, proszę panów sędziów, to nie była wyrafinowana gra, ale całkowicie zaimprowizowana komedja. Oto wszystko, co mogę powiedzieć, na mą obronę!...

Oskarżony usiadł zpowrotem na ławie

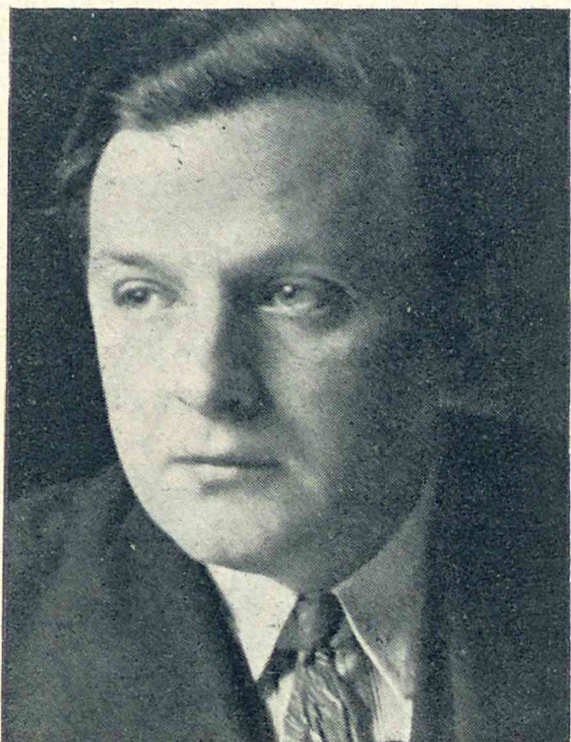
Po sali rozległ się szept: — Winien czy nie winien?...

Tłom. *An. Wal.*

ŚWIAT KSIĄŻKI

PIĘTRA

P. Jakób Appenszlak, redaktor „Naszego Przeglądu", jest utalentowanym feljetonistą i krytykiem teatralnym. Teraz mamy możność zapoznać się z nim, jako powieściopisarzem. Wydał on bowiem utwór pt. „Piętra" czyli „Dom na Bielańskiej", cieszący się dużą poczytnością wśród zasymilowanej inteligencji żydowskiej; treścią tej powieści jest sjonizm. Dosyć wyraźnie zaznaczył autor i motywy społeczne. „Piętra" — to różne nawarstwienia ludzkie, tworzące społeczność żydowską, mieszkającą w Warszawie między dzielnicą Nalewkowską a Placem Teatralnym. Ulica Bielańska jest tą arterją, łączącą dwa światy: aryjski i semicki. Dom przy tej ulicy jest przekrojem, skupiającym wszystkie ideologiczne i materjalne nastawienia społeczeństwa żydowskiego. Mieszkają w nim bogacze, inteligenci, półinteligenci, robotnicy. Polityczną barwę temu zespołowi nadaje poseł żydowski na Sejm. Wszystkie te rozbieżne typy udało się p. J. Appenszlakowi zręcznie spleść w zajmującą, powieściową, barwną tkaninę, dzięki perypetjom życiowym głównego bohatera narracji — studenta. Młody ten, ubogi chłopiec jest synem skrachowanego handlowca. Własnym wysiłkiem pragnie przebrnąć przez uniwersytet. Idzie mu to dosyć kulawo, gdyż nie ma pieniędzy na zapłacenie czesnego. Zdarza mu się jednak szczęśliwa okazja. Otrzymuje lekcję za 300 zł. miesięcznie w rodzinie dr. Rosego. Cóż, kiedy szczęście to prędko skończyło się? Henryk zakochał się w uroczej madame Rose, choć był już zaręczony z dobrą Heleną Kupczykówną. Piękna pani Rose była łaskawa zresztą nietylko dla nieobytego idealisty-studenta. Odwiedzała ona i innych mężczyzn z tym samym wdziękiem, poezją i... przyborami toaletowemi. Powieść kończy się pogodnie. Henryk wróci do swojej narzeczonej i wraz z nią pojedzie do Ziemi Obiecanej.



Jakób Appenszlak

Autorowi udało się świetnie odtworzyć środowisko plutokracji. Przyjęcie u bankiera stanowi atrakcję tej powieści. Dobrą jest scena u mydlarza, brata Heli. Wzrusza obraz Tel-Awiwu, widzianego ze statku przez emigrantów. Wszędzie postacie są plastyczne, żywe, dobrze obserwowane, charakterystyczne a nie szarżowane. Jako powieściopisarz p. Jakób Appenszlak przekonywa i pobudza wyobraźnię. Jego „Piętra" są utworem udanym i godnym poznania. Powieść tę czyta się z niesłabnącem napięciem uwagi. Warto, by zapoznały się z nią i sfery czytelnicze polskie. Odkryją w tej książce dużo ciekawych dla siebie refleksji i wrażeń.

E. C.

„Romantyczni przyjaciele"

P. Leopold Wellisz opublikował po francusku pt. „Les amis romantiques", interesującą książkę o znanym malarzu Ary Scheffer'ze i jego polskich przyjaciołach: Zygmuncie Krasińskim, Elizie Krasińskiej, Delfinie Potockiej i innych. Książka ta zawiera pięknie wykonane reprodukcje obrazów i portretów pędzla tego francuskiego artysty oraz korespondencję twórcy „Irydjona", jego żony i jego przyjaciółki. Wstęp do tej publikacji napisał francuski znawca naszego romantyzmu, Gabriel Sarrazin.

Listy, które ogłosił p. L. Wellisz, przechowywane były w rodzinie Ernesta Renana. Córka znakomitego historyka chrześcijaństwa, p. Noemi Repan, użyczyła je do ogłoszenia, by wskazać na węzły przyjaźni, łączące Polskę z Francją. Polskiego czytelnika książka ta interesuje z wielu względów. Poglądy estetyczne Z. Krasińskiego znajdują w listach do Ary Scheffera pełny wyraz, są też świadectwem przeżyć i trosk duchowych naszego poety oraz jego otoczenia. Obrazy Ary Scheffera znajdują się w kilku magnackich zbiorach w Polsce, jak hr. Raczyńskich, Krasińskich, Potockich, Tarnowskich, Szembeków. Reprodukcje podane w książce p. Wellisza uwypuklają właściwości artystyczne pędzla tego znanego i cenionego ongiś portrecisty.

ec.

NOWINY LITERACKIE

DOM RODZINNY ANATOLA FRANCE'A

(s.) W Paryżu odsłonięto niedawno na fasadzie domu № 15 przy quai Malaquais tablicę pamiątkową ku czci Anatola France'a, który w domu tym mieszkał przez długie lata. Nie jest to jednak rodzinne miejsce wielkiego pisarza, ponieważ urodził się on w domu № 19 przy tej samej ulicy i tam spędził pierwszych sześć lat życia. Ten właśnie gmach jest poniekąd historyczny w literaturze; mieszkali w nim w swoim czasie George Sand, Louis Veuillot, Arsène Houssaye, Auguste Barbier i inni. Gdyby pamięć ich wszystkich chciano również uczcić tablicami, to — jak zauważyło złośliwie jedno z pism paryskich — mogłoby zabraknąć miejsca na fasadzie budynku.

LAUREACI LITERATURY FRANCUSKIEJ

(s.) Wiosna jest okresem, kiedy Paryż i Francja przyznają większość swych nagród literackich. W ostatnich dwóch tygodniach maja przybyło znowu kilku laureatów. „Prix Renaissance" otrzymał Elian J. Finbert, z pochodzenia żyd rosyjski, urodzony w Kairze, a wychowany w Palestynie i Egipcie, autor kilku powieści, malujących życie wschodu. Również akcja ostatniej jego nagrodzonej obecnie powieści „Le Fou de Dieu" rozgrywa się w Aleksandrji.

Laureatem „Prix Populiste" jest Henri Pollès, dwudziestopięcioletni bretończyk z marynarskiej rodziny. Karjerę literacką rozpoczął zbiorkiem poezji, kilka napisanych powieści nie znalazło dotąd łaski w oczach wydawców, z wyjątkiem jednej p. t. „Zofja z Tréguier", której właśnie zawdzięcza nagrodę.

Dom Poezji, fundacji Emila Blémonta, odznaczył nagrodami czterech młodych poetów, wchodzących dopiero w szranki literackie. Są to pp. Em. Aegerter, H. d'Yvignac, H. Puis de Chavannes i R. L. Piachaud. Przyszłość okaże, czy będą to istotnie gwiazdy na poetyckim widnokręgu.

BUŁGARSKI JUBILAT

(s.) Bułgarja święciła niedawno dwudziestopięciolecie pracy Dra Assena Zlataroffa, wybitnego chemika i biologa, a jednocześnie utalentowanego poety i powieściopisarza, posługującego się w literaturze pseudonimem Aura. Jako uczony położył Zlataroff ogromne zasługi i zdobył sobie głośne imię, jako literat zyskał duże powodzenie dzięki poezjom lirycznym prozą, pisanym nieco pod wpływem francuskich symbolistów i Remy de Gourmonta. Ostatnia jego powieść ma tytuł: „W mieście miłości"; akcja rozgrywa się w Paryżu. Z okazji jubileuszu rząd francuski odznaczył Zlataroffa legją honorową. Powiedzenie polskie, krążące niegdyś o jednym z literatów, że jest: „najlepszym poetą między chemikami i najlepszym chemikiem między poetami", nie dałoby się w tym wypadku zastosować. Bowiem Zlataroff jest równie tęgim pisarzem, jak uczonym.

Czterechsetlecie urodzin Michała de Montaigne

Szerokie koła inteligencji francuskiej z pietyzmem świętują w roku bieżącym czterechsetną rocznicę urodzin znakomitego autora „Essais" Michała Eyquem de Montaigne. Jest on bardzo charakterystycznem zjawiskiem umysłowości francuskiej. Dociekliwy, ciekawy, opanowany, lubujący się w życiu, na wiele wieków przed Einsteinem sformułował zasadę względności sądów ludzkich. Potrafił każdej prawdzie pozytywnej przeciwstawić jej negację, każdemu obyczajowi odwrotny w wartości tradycjonalizm, każdej obserwacji inny w barwie i natężeniu sąd czy przesąd. Na swoją epokę patrzył okiem spokojnem, ucząc umiarkowania, opanowania, nie poddając się walkom religijnym, nie ulegając pokusom politycznym. Pozostawił po sobie tłomaczone na wszystkie prawie cywilizowane języki słynne „Essais", lekturę do dziś zajmującą i pełną duchowego wdzięku. Dzieło to przełożył na nasz język Tad. Boy-Żeleński.

Z okazji rocznicy odbył się w Warszawie wieczór, poświęcony temu wielkiemu myślicielowi i artyście.

MIĘDZYNARODOWY KONKURS TAŃCA



Taniec charakterystyczny (Lotte Goslar — Niemcy)

Dnia 9 b. m. rozpoczął się w Warszawie, w Teatrze Wielkim, Międzynarodowy Konkurs Artystycznego Tańca solowego, zorganizowany przez czasopismo „Muzyka". Popisy odbywają się codziennie od godz. 10-ej rano do 2 po poł. i od 3 po poł. do 6 wiecz. Jednocześnie z konkursem obchodzone jest „Święto Tańca", obejmujące szereg atrakcyjnych popisów. Laureatom konkursu przyznane być mają następujące nagrody: p. Prezydenta Rzeczypospolitej zł. 3 000, p. Min. M. S. Z. — zł. 2.000, p. Min. W. R. i O. P. — zł. 1.500, p. prezydenta m. st. Warszawy zł. 500 i szereg in.

Na czele Komitetu Organizacyjnego stoją: min. dr. K. Bertoni, Halina Szmolcówna i red. Mateusz Gliński. W konkursie bierze udział przeszło 120 tancerek i tancerzy ze wszystkich krajów.



Taniec wyzwolony (Rozalja Chladek — Czechosłowacja)



Taniec sceniczny (Cissi Olsson—Szwecja)



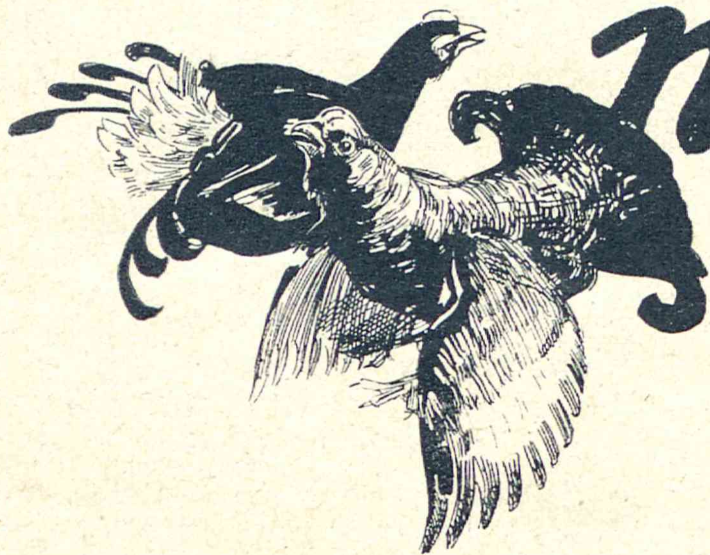
Taniec wyrazisty (E. Tordis — Austrja)



Taniec klasyczny (W. Wasiljewa—Rosja)

Kilka uczestniczek I-go Międzynarodowego Konkursu Tańca Artystycznego

Na ostrowach



2)

Po chwili przyleciały kury. Łaziły blisko dokoła budki i gdakały zachęcająco. Nie mogłem się ruszyć w obawie, aby ich nie spłoszyć. Tymczasem kogut zaczął bełkotać, a gdzieś dalej odezwały się jeszcze dwa.

O trzeciej rozwidniło się o tyle, że dojrzałem czarną sylwetkę ptaka między srebrzystemi od szronu wrzosami. Wolno, zachowując wszelkie ostrożności, wziąłem go na cel. Tokował zwrócony do mnie bokiem, opuściwszy nisko skrzydła i wyciągnąwszy szyję. Czekałem, aż wydając swoje syczące, szeptliwe hasło, zmieni pozycję, gdy wtem z za budki przyleciał drugi i usiadł w pobliżu. Kury umilkły nagle, przyglądając się mu ciekawie.

Cofnąłem strzelbę. Nowoprzybyły nastroszył pióra i czuszyknął, łopocąc skrzydłami. Podskoczył, przeleciał kilka kroków i czuszyknął znowu prowokująco. Zobaczyłem jego czerwone brwi, wielkie i grube. Musiał być stary.

Tymczasem pierwszy dreptał dalej drobnemi kroczkami, zataczając koła i nie przestając bełkotać. Oba zbliżały się ku sobie: przybysz — wyraźnie szukając zaczepki, tamten zaś — jakgdyby nie widząc go wcale.

Zwarły się niespodzianie, zupełnie jak domowe koguty: oba podskoczyły, bijąc skrzydłami i wystawiając naprzód palczaste łapy. I równie nagle znieruchomiały, opadłszy na ziemię wśród sypiącego się pierza.

Teraz przez chwilę mierzyły się wzrokiem, by wkrótce ponowić atak. Raz po razu uderzały na siebie z wściekłością, póki jednemu z nich nie udało się chwycić drugiego dziobem za skórę na szyi tuż koło głowy. Wówczas stanęły w miejscu, jakby dla odpoczynku. A po chwili, już rozdzielone, zaczęły zgodnie bełkotać, zataczając kręgi, jak w dziwacznym tańcu.

Myślałem, że ten rozejm potrwa aż do końca toku. Ale omyliłem się: stary kogut-prowokator nastroszył się okropnie i z głośnem — Czuff-szszsz! — wyprysnął w górę, bijąc skrzydłami.

Musiało to być w języku cietrzewi jakieś niesłychanie robaczywe przekleństwo, bo młodszy aż zaniemówił z wrażenia. Pohamował się przecież tym razem i tylko pogardliwie czuszyknął w odpowiedzi na zniewagę.

Stary był bardziej krewki: przyskoczył do flegmatyka i palnął go skrzydłem w łeb, aż tamten przysiadł.

Zaczęła się bijatyka, przerywana od czasu do czasu pełnemi powagi pauzami, gdy jednemu z przeciwników udawało się chwycić drugiego za brew, albo poprostu za pióra. Obchodzili się potem ostrożnie, mijając jeden drugiego z wahaniem i drepcząc drobniutko, jak dwaj bokserzy, z których każdy boi się zacząć, aż nagle z głośnym okrzykiem rzucali się na siebie po kilkakroć, drapiąc, dziobiąc i bijąc skrzydłami.

Kurom widocznie znudziło się prędko to widowisko, bo znów zaczęły gdakać, plotkując o rzeczach obojętnych i zabrały się do jedzenia ziarnek, pracowicie wyszukiwanych w trawie, tak właśnie, jak niewiasty nieinteresujące się walką na ringu, zaczynają rozmawiać, jedząc czekoladki.

Mnie jednak walka kogucia pochłaniała całkowicie: zapomniałem o strzelbie, o zimnie, o całym świecie. Patrzyłem na rywali, toczących dziwny, niewątpliwie ujęty w jakieś tajemne cietrzewie prawa i przepisy bój i myślałem tylko, że szare głupie kury nie warte są tych rycerskich zapasów, skoro nie przejmują się niemi zupełnie. To też przekonany jestem, że koguty walczą nie o samiczki, a raczej dla samej przyjemności walki, albo — że jest ona dla nich jakimś rytualnym obrzędem cietrzewiego kultu.

Z rozmyślań tych wyrwał mnie huk strzału, który szeroko grzmiącem echem popłynął wzdłuż dalekiej ściany lasu. To major łupnął ze swojej budki, o 250 metrów za mną, po drugiej stronie ostrowu.

Ująłem i ja strzelbę, mając nadzieję położyć obu rycerzy jednocześnie. Wtem dwunastka majora przemówiła powtórnie, a po chwili jeszcze raz zagrzmiało echo od lasu. Tego moim kogutom było już za wiele: rozglądnęły się niespokojnie i nastroszone zamilkły, kryjąc się we wrzosach.

Postanowiłem wobec takiego obrotu sprawy czekać na drugi tok, po wschodzie słońca. Jakoż, gdy między przerzedzonemi chmurami błysły pierwsze promienie, bliżej siedzący cietrzew czuszyknął prze-

ciągle, podfruwając w górę i właśnie zamierzał rozpocząć swój taniec, kiedy z daleka, od strony bagna rozległo się podejrzane człapanie po błocie i niewyraźny odgłos rozmowy.

Zakląłem brzydko i z pośpiechem sięgnąłem po strzelbę. Ale było już za późno: furkot skrzydeł odlatujących ptaków odebrał mi resztki nadziei...

Wyszedłem z budki zmarznięty, zawiedziony i wściekły. Mogłem mieć oba koguty: biły się o 25 kroków odemnie.

— Kto u licha włóczy się tu tak wcześnie? — pomyślałem ze złością, idąc w kierunku intruzów.

Nie mógł to być żaden z naszych przewodników, bo nie przyszliby niewołani. Nie mogłem również przypuścić, aby major popełnił taką nieostrożność, a Władek siedział uwięziony na ostrowie odległym od nas o kilometr. Zresztą, gdyby się nawet odważył stamtąd ruszyć, to z pewnością we wprost przeciwną, a nie w naszą stronę.

Majora rzeczywiście zastałem w jego budce, skąd poszliśmy razem dalej, kierując się na coraz wyraźniejsze głosy. Przyjaciel mój miał na rozkładzie dwa koguty i wierzchołek małej brzózki, przez którą strzelał do trzeciego, nie zauważywszy tej przeszkody.

Zazdrość żarła mi serce (nie o tę brzózkę naturalnie). Szedłem ze spuszczoną głową, złorzecząc nieznanym sprawcom mego niepowodzenia i słuchając majora, który wymyślał mi od ciemięgów. Tak dotarliśmy do skraju zarośli i nagle obaj stanęliśmy, jak wryci: przed nami stało coś, co pod grubą warstwą błota przypominało kościstą szkapę. Na tym dziwnym zwierzu siedział zarumieniony i pełen werwy Władek, obok zaś stał Mikołaj z głupkowatą miną i paczką prowiantów.

— Przywiozłem wam śniadanie — oświadczył tryumfująco wróg Piastów i Jagiellonów. — Będziemy zaraz rembać. Są jajka, masło, szynka, wódka i sardynki.

Milczeliśmy, nie mogąc ochłonąć z wrażenia.

— No? — zagadnął Władek wyczekująco.

Wtedy wstąpiła we mnie zimna żądza mordu.

— Właduchna — powiedziałem z trującą słodyczą, — czemuś ty się wczoraj nie utopił?

— Poco cię tu djabli tak wcześnie przynieśli — dodał major. — On przez ciebie nic nie zabił: spłoszyłeś.

— A były cietrzewie? — spytał naiwnie pogodny topielec.

— Pewnie, że były.

— Phi, jabym zrembał. Jakby tylko do mnie przyszły, zrembałbym, jak Boga kocham — zapewniał nas obojętnie. — O, tu są jajeczka, tu szyneczka, tu chlebek...

— Dawaj wódy — westchnęliśmy obaj z rezygnacją.

Janusz Meissner

Podręcznik szkolny dla dzieci włoskich emigrantów

Rząd włoski roztacza obecnie troskliwą opiekę nietylko materjalną, ale i moralną nad swoją emigracją, starając się ją uświadomić narodowo i związać z ojczyzną. Najwięcej dba się o młode pokolenie.

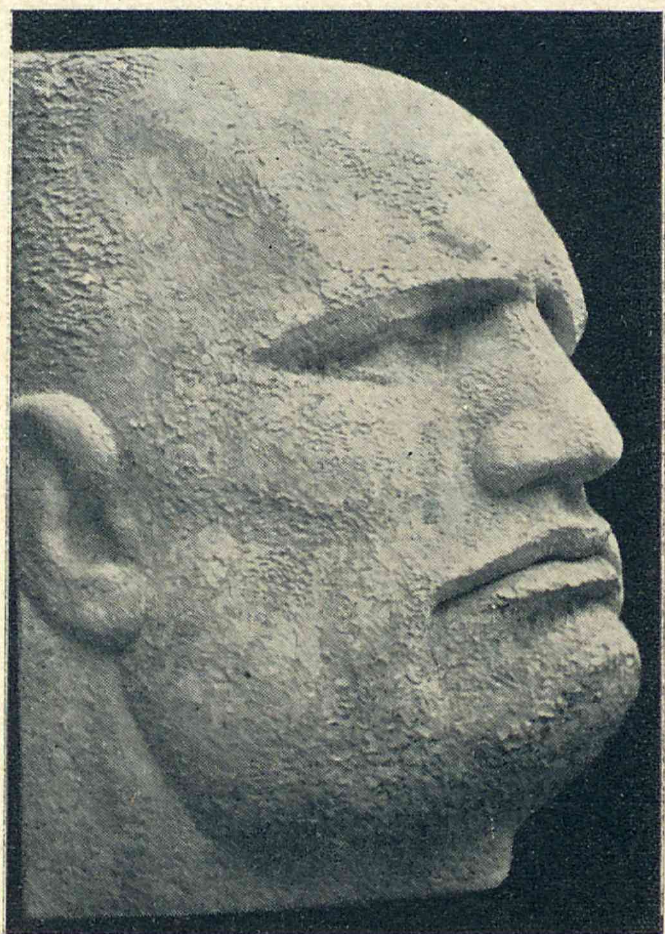
Obecnie włoskie ministerstwo oświaty wydało piękną książkę, przeznaczoną dla 5-ej klasy szkół włoskich na obczyźnie i stanowiącą jakby encyklopedję wiadomości, niezbędnych dla dzieci w tym wieku.

Ponieważ i Polska posiada liczną emigrację, powinniśmy się zainteresować tem wydawnictwem i wziąć je wprost za wzór dla siebie. Już pod względem zewnętrznym wyróżnia się dodatnio z pośród podręczników szkolnych. Jest drukowana na luksusowym papierze, posiada prawie 500 stron i kilkaset doskonałych ilustracyj. Taką książkę bierze się z rozkoszą do ręki.

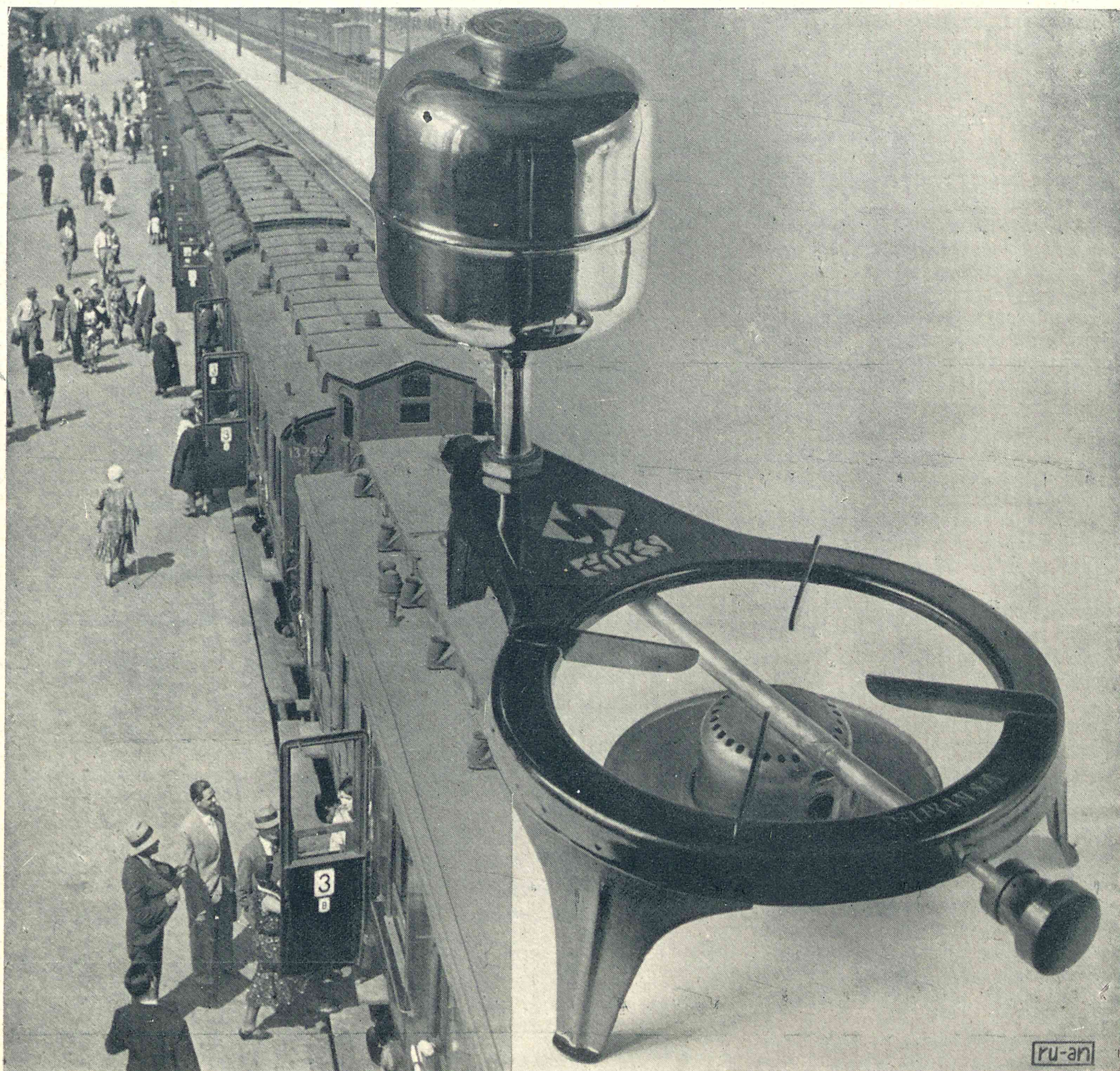
Treść została ściśle dostosowana do poziomu i potrzeb młodzieży. Zawiera historję i geografję Włoch, tak umiejętnie podane, aby wzbudzić w dziecku dumę, że należy do najpierwszego narodu świata; dalej idą króciutkie wiadomości o innych państwach, wśród których poświęcono też stroniczkę Polsce, zaczynającą się od słów: „Polska była przez setki lat królestwem pełnem chwały lecz później została podzielona między Prusy, Austrję i Rosję. Po ostatniej wojnie powstała jeszcze większa, niż przedtem". — Chociaż to ostatnie zdanie nie jest ścisłe, świadczy jednak o sympatycznym stosunku autora. Szkoda tylko, że nie załączono żadnego obrazka z Polski, co najżywiej przemawia do fantazji dziecięcej.

Dalej podano popularne wiadomości z dziedziny arytmetyki, geometrji, fizyki, chemji, botaniki i t. d., a na zakończenie specjalny dział poświęcono ekonomice, prawu i instytucjom faszystowskim.

Dziecko włoskie, które przeczyta tę piękną książkę, zdobędzie ogólne pojęcie o wszystkiem, gdyż wykład jest niezwykle dostępny i syntetyczny.



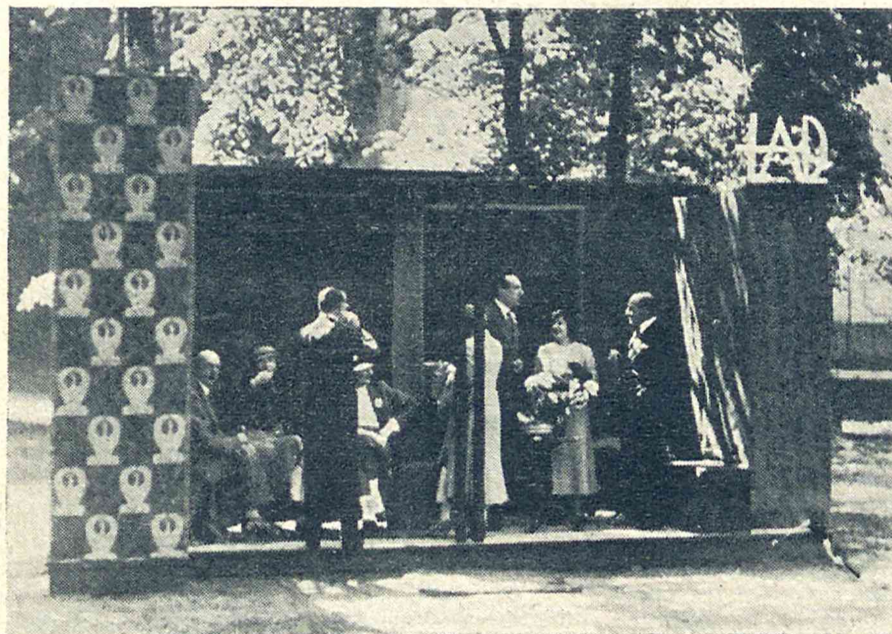
Mussolini — płaskorzeźba Randelli'ego



KUCHENKA „EMES" i ZAPAS DENATURATU W BLASZANCE znakomicie rozwiązują problemat prowadzenia gospodarstwa na letnisku

„Cudze chwalicie, swego nie znacie"





P. minister Beck w rozmowie z premjerem Jędrzejewiczem na tle wspaniałych kilimów z „Ładu" i w otoczeniu pięknych pań

Obok pani ministrowa Jadwiga Beckowa, niestrudzona propagatorka polskiej sztuki ludowej, ubrana w budzącą powszechny zachwyt toaletę z jedwabi milanowieckich

Dzięki akcji propagandowej, zapoczątkowanej przez p. ministrową Beckową, zapoznaliśmy się z wytworami polskiej sztuki ludowej na pokazie wysoce oryginalnych haftów, szerokiemu ogółowi do niedawna nieznanych.

Wzmożone zainteresowanie się pracą ludu wiejskiego zbliża znajdujące się na kresach warsztaty do stolicy. Rękodzielnictwo artystyczne kwitnie i rozwija się.

Na przemiłem „Garden-party" p. Jadwiga Beckowa zapoznała licznie zgromadzonych gości z dorobkiem spółdzielni „Ład" i doświadczalnej stacji jedwabniczej w Milanówku.

Piękne kilimy, lniane i wełniane tkaniny, meble, ceramika, i t. p. przedmioty służące do dekoracji wnętrz z wytwórni „Ład" nacechowane są celowością form i artystycznem piętnem.

Jedwabie milanowieckie — stają się faworytem mody. Polski jedwab, walczący w niezmiernie trudnych warunkach o prawa obywatelstwa, zasługuje przecież na poparcie.

Suknie i kostjumy, w jakich wystąpiły na Garden-party panie, czyniące honory domu, przekonały, że jedwab milanowiecki, w ostatnich czasach udoskonalony, nie ustępuje zagranicznym.

Oryginalnością wyróżniały się tualety p. min. Beckowej, skomponowanej z białych szali w pasy, p. min. Szembekowej jedw. w dyskretny deseń, żółta przybrana białą organdi, noszona przez p. K. Romerową, i stylizowane suknie pp. Sztamskiej i Borudzkiej.

Nietylko panie wystąpiły w polskich jedwabiach, wielu panów miało na sobie krawaty pochodzenia milanowieckiego.

Obecni byli na Garden-party również członkowie korpusu dyplomatycznego. Ambasador Francji Laroche, ambasador włoski Bastianini z żoną, ambasador turecki z żoną i inni. Z przedstawicieli rządu widzieliśmy p. premjera Jędrzejewicza, marszałków: Raczkiewicza i Świtalskiego, min. Kalińskiego, min. Szembeka, min. Doleżala z żoną, woj. Jaroszewicza z żoną, jak również elitę świata artystycznego i towarzyskiego stolicy.

Nastrój pełen charme'u i swobody sprawił, że przyjęcie u p-ni min. Beckowej pozostawiło jaknajmilsze wspomnienie, a przedewszystkiem spełniło swój cel pięknej propagandy.

Z. T.

„Aktualne" kroniki filmowe

(ivr) W kinach warszawskich wyświetlany jest obecnie dodatek kroniki filmowej PATa, przynoszący następujące „aktualności": losowanie miljonowej wygranej Państwowej Loterji, defiladę wojskową w dniu święta 3-go Maja i wreszcie wybory Prezydenta, jednem słowem, zdarzenia, które już przeszły do historji.

Nasuwa się pytanie, czy oddział filmowy PATa, posiadający wszystkie możliwości techniczne i finansowe, nie mógłby bardziej zaktualizować swoich kronik i nie budzić szczerej wesołości wśród widzów zdjęciami mocno trącącemi myszką i nic wspólnego z chwilą bieżącą nie mającemi.

Dlaczego kroniki zagraniczne wyświetlane w naszych kinach zawsze są aktualne i zawsze przedstawiają ostatnie wydarzenia ze wszystkich części świata?

Polski „Rin–Tin–Tin"



„Puk" — pies „doberman", własność art. dram. J. Bielicza, ułożony specjalnie dla sceny. Brał udział w sztukach: „Ten, którego biją po twarzy", „Kwadrans przed świtem" w Teatrze Nowym. Wkrótce „Puk" wystąpi w roli głównej w filmie, w którym niewątpliwie zdobędzie sobie sławę polskiego Rin-tin-tina



Dnia 11 bm. odbędzie się na ulicach Warszawy kwesta na rzecz Polskiej Ligi Przyjaciół zwierząt. Dżek, słynny kwestarz, zbierać będzie datki na swoich czworonożnych przyjaciół

Prenumeratorom, którzy w ciągu najbliższego tygodnia nie uiszczą prenumeraty za miesiąc czerwiec, wstrzymana będzie wysyłka pisma

TEGOROCZNE NAJPIĘKNIEJSZE KOBIETY ŚWIATA



„Miss Norwegja"



„Miss Rumunja"



„Miss Francja"



„Miss Hiszpanja"



„Miss Rosja"



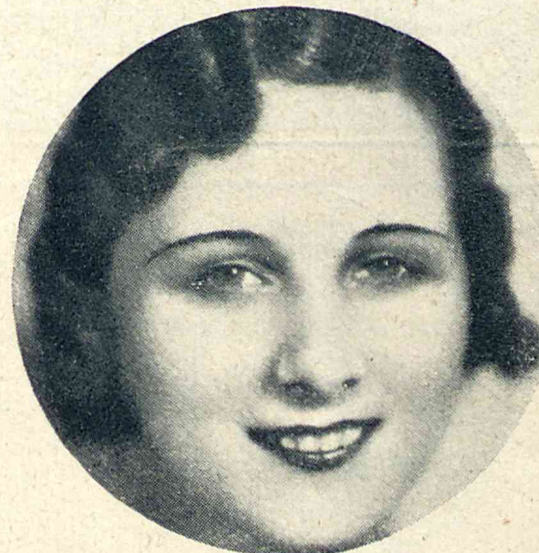
„Miss Italja"



Pocałunek królowych



„Miss Jugosławja"



„Miss Anglja"



„Miss Hungarja"

Rosjanka, obywatelka łotewska, wychowana w Paryżu, stale zamieszkała w Wilnie, została „Mis Europą" na rok 1933. Panna Tatjana Masłowa, premjowana piękność tegoroczna, jest tedy osóbką całkiem międzynarodową, i już z tego tytułu miała pierwszeństwo przed innemi „missami". Jest ponadto naprawdę urocza.

Miała trudne zwycięstwo. Groźnemi rywalkami były Miss Francja i Miss Hiszpanja, która w rodzimym Madrycie pewna była wyboru na królowę piękności. Rosjanka zdobyła tytuł „Miss Europy" dopiero w drugiem głosowaniu, i to zaledwie jednym głosem większości.

Wybory odbywały się we wspaniałej sali wielkiego pałacu sztuk pięknych w obecności prezydenta Zamory. Trwały tak długo, że prezydent kilkakrotnie ostentacyjnie ziewnął, aby przyśpieszyć skomplikowaną procedurę wyborczą.

Panna Masłowa jest wyjątkową „Miss Europą". Nie marzy o karjerze filmowej!

Lepiej późno niż wcale

(ivr) Większe kawiarnie warszawskie przed kilku dniami ogromnie obniżyły ceny. Dotychczasowe bowiem były wprost fantastyczne i spowodowały zmniejszenie frekwencji. Naiwnych, płacących około 2 zł. za szklankę lemoniady czy mazagranu, zabrakło.

Rezultatem obniżki jest znowu przypływ publiczności do kawiarni. Obroty się zwiększyły, kelnerzy są zadowoleni, a właściciele zgłaszający się o nadzór sądowy zaczynają wierzyć, że uda im się przetrwać kryzys.

Wejście do kawiarni przestało być luksusem i jest obecnie dostępne dla przeciętnie zarabiającego inteligenta.

SŁUCHAM RADJA

Z ciekawszych audycji następnego tygodnia wydają się nam polecenia godne: Dn. 9.VI. o godz. 20.00 piątkowy koncert symfoniczny ze studja warszawskiego pod batutą Grzegorza Fitelberga.

Dn. 10.VI o godz. 22.05 sobotni recital chopinowski w wykonaniu znanej pianistki prof. Zofji Rabcewiczowej. Program zawiera: Poloneza f-moll (pośmiertnego), Allegro Koncertowe, Nokturn fis-moll, 3 Mazurki: As-dur, G-dur i cis-moll, oraz Scherzo b-moll.

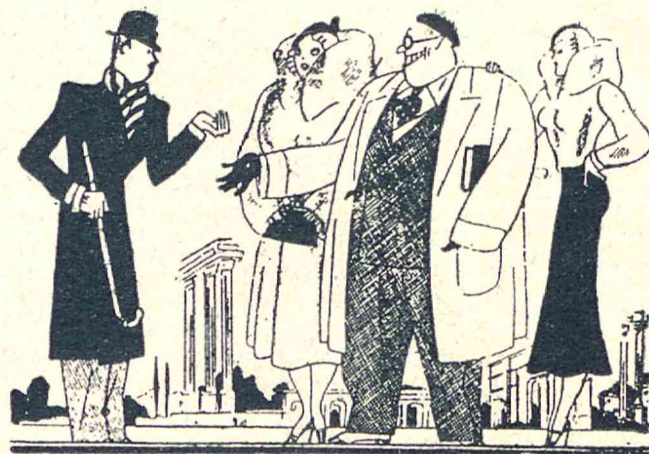
Dn. 11.VI. o godz. 20.00 z okazji Zjazdu Związku Młodzieży Ludowej Województwa Warszawskiego, Polskie Radjo transmituje z Pomarańczarni w Parku Łazienkowskim — „Wieczór Kultury Ludowej". Będzie to audycja, w ramach której usłyszą radjosłuchacze muzykę, pieśni ludowe, recytacje charakterystyczne i ciekawe obrazki obrzędów ludowych. Audycje poprzedzi słowo wstępne Prezesa Związku Młodzieży ludowej, dr. Józefa Polakiewicza.

Dn. 12.VI. o godz. 20.15 rozgłośnia warszawska transmitować będzie z Filharmonji Warszawskiej specjalny koncert poświęcony muzyce polskiej z okazji Zjazdu Elektryków Polskich i Czechosłowackich w Warszawie. Wykonawcami będą Orkiestra Filharmoniczna pod dyr. Grzegorza Fitelberga, znana skrzypaczka Eugenja Umińska, oraz baryton Jerzy Czaplicki. Program otworzy Polonez Chopina, poczem odegrany będzie poemat symfoniczny Karłowicza p. t. „Stanisław i Anna Oświęcimowie", Kondrackiego „Suita Kurpiowska", Różyckiego poemat symfoniczny „Anhelli", Niekraszowej „Szachy", oraz Moniuszki Mazur z op. „Straszny Dwór", Szymanowskiego Koncert skrzypcowy, oraz dwie arje Moniuszki: z „Verbum Nobile" i z op. „Halka".

Dn. 13.VI. o godz. 21.30 wystąpi z recitalem śpiewaczym przed mikrofonem warszawskim śpiewaczka operowa p. Halina Dudiczówna. Program zawiera arje Charpentiera, Donizetiego, i pieśni Roguskiego, Dargomyżskiego, Glinki, Respighiego.

Dn. 14.VI. o godz. 20.00 koncert muzyki lekkiej i o godz. 21.25 w koncercie muzyki polskiej pod dyrekcją Józefa Ozimińskiego weźmie udział jako solista ceniony tenor operowy, Adam Dobosz, który odśpiewa arje z oper Moniuszki, Żeleńskiego. W programie orkiestrowym utwory Statkowskiego, Moniuszki i Noskowskiego.

HUMOR



— *Jak państwo zdołali zwiedzić Rzym w ciągu trzech dni?*

— *Bardzo łatwo: moja żona odwiedzała kościoły, córka — oglądała pomniki i pałace, a ja — kawiarnie i bary.*

„Czy będę dziś miała powodzenie?" oto pytanie, które zadaje sobie każda pani po skończonej toalecie. Jeszcze ostatnie spojrzenie w lustro... jak pięknie układają się włosy, ich uroczy połysk i zapach muszą wzbudzić zachwyt. Wszak tak łatwo daje się to wszystko osiągnąć: mycie głowy raz na tydzień Pixavonem zapewnia powodzenie.

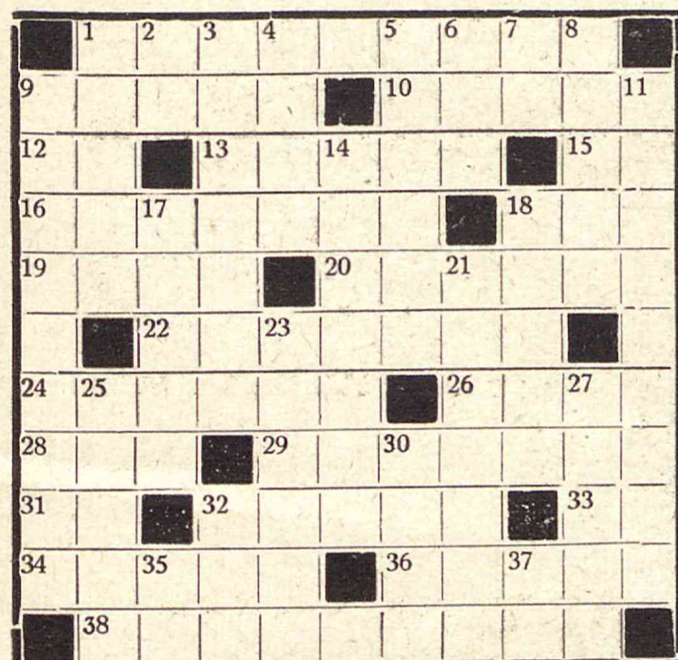


ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 125 (227) KRZYŻÓWKA

Ułożył Zenon Brenek.

(Za rozwiązanie 10 punktów).



Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Przyrząd do mierzenia siły dźwięku w radjoaparatach. 9. Rzeka w Polsce. 10. Złota moneta perska. 12. Złoto w jęz. obcym. 13. Stol. hr. tejże nazwy w Ulsterze. 15. Pytajnik. 16. Miasto pow. nad Dniestrem w gub. homelskiej. 18. Przyprawa do potraw. 19. Roślina polna. 20. Miasto na wyspie Hondo (Japonja). 22. Główne miasto okręg. ang. Gierwol w Indjach wsch. 24. Dawna nazwa królestwa Burgundzkiego. 26. Opłata celna na rogatce. 28. Prawy dopływ rz. Warty. 29. Plotka siejąca waśń, niezgodę. 31. Przyimek. 32. Imię męskie. 33. Lit. fonet. 34. Rzeka w Afryce równikowej. 36. Część ręki. 38. Minerał, siarkoantymonian miedzi.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Wyspa grecka na m. Egejskim w grupie Cyklad. 2. Miara powierzchni. 3. Koncert, który wypełnia jeden tylko artysta. 4. Masa wulkaniczna (wspak). 5. Miasto okręg. w prow. Agra-Oudh (Indje bryt.). 6. Dzienna płaca robotnika. 7. Samogłoska i spółgłoska. 8. Miasto w stanie Georgji (U. S. A.). 9. Zbiór przepisów kościelnych połączonych z rozporządzeniami władz świeckich w kościele wschodnim. 11. Zwierzę trawożerne żyjące w Afryce. 14. Myśliwiec, łowiec. 17. Dźwignia, lewar. 18. Grecki bożek leśny. 21. Orkiestra jawańska złożona z gongów, dzwonów i ksylofonu. 23. Rzeka w prow. Canterbury na wyspie N. Zelandji. 25. Milicja Turecka (obrona krajowa). 27. Gatunek narcyza. 30. Rasa psów bez przedostatniej litery. 32. Trzy spółgłoski. 35. Rzeka w Kurlandji. 37. Chińskie imię męskie.

Rozwiązanie zadań

№ 119 (221) LOGOGRYF.

1. Cykorja. 2. Menelik. 3. Pakamer (wspak). 4. Gruszka. 5. Kryński. 6. Kukizów. 7. Atakora. 8. Mopanek. 9. Lemiesz (wspak). 10. Asojama. 11. Sposoby. 12. Bębasek. 13. Satrapa. 14. Anszlus. 15. Krawiec (wspak). 16. Brzemię. 17. Mustang. — Kornel Makuszyński: „Zakopane i moja osoba", „Straszliwa zemsta".

№ 120 (222) WYSUWANKA.

„Użyczywszy myśli wszystkim ciałom, genjalność grecka użyczyła ciała wszystkim myślom". (Wyjątek z dzieła S. Reinacha p. t. „Orpheus" czyli historja powszechna religji).

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 119 (221). (Za rozwiązanie 7 punktów). N. K. Kozłowski. Marja Strubel. Kazimierz Lilpop. Z. Tietz. Fr. Wiśniewski. Dorota Herbstmanówna. Zenon Brenek. Jawna Kowalska. Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków).

№ 120 (222). (Za rozwiązanie 5 punktów). Zenon Brenek. Dorota Herbstmanówna. Marja Strubel. Zygmunt Pieracki (Wilno). N. K. Kozłowski. Fr. Wiśniewski. Józefa Wolińska. Jawna Kowalska. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

NAGRODY OTRZYMALI:

Marja Strubel (Warszawa) — książkę.
Wiktor Sawicki (Warszawa) — książkę.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P